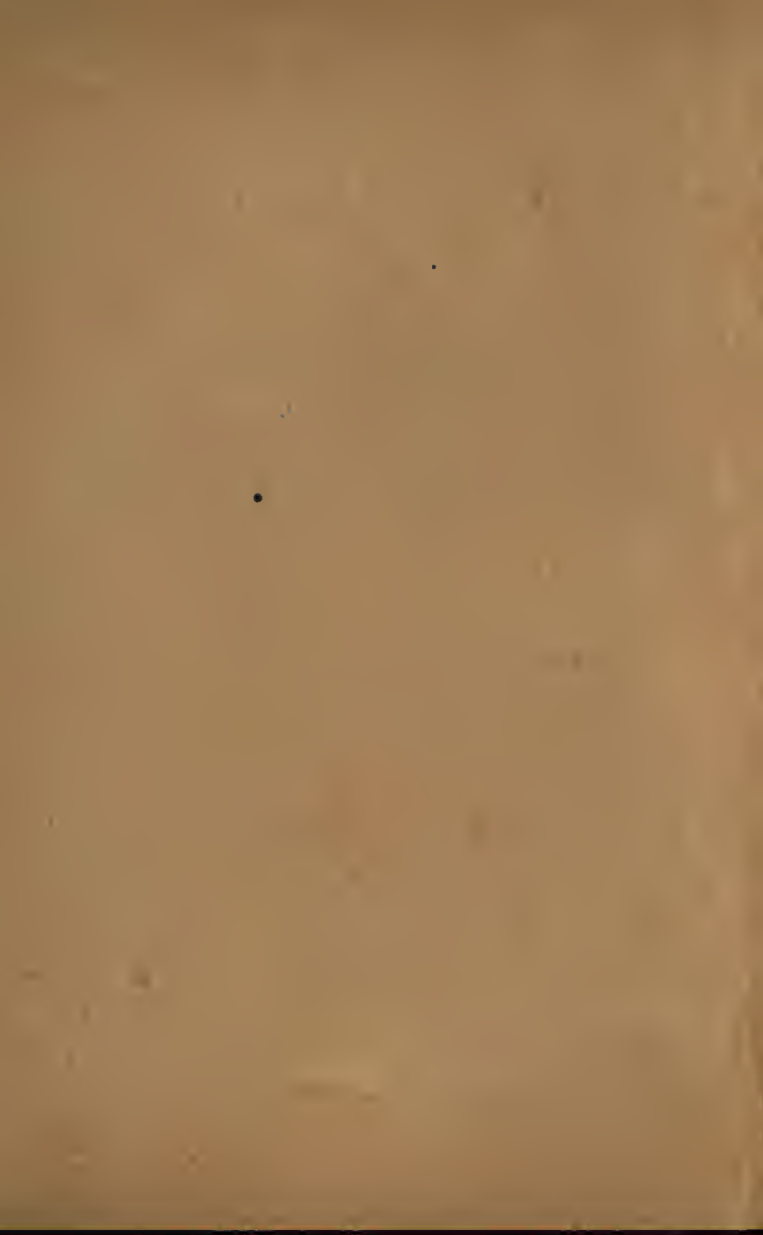


WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom pięćdziesiąty siódmy.



SPRAWA KRYMINALNA

POWIASTKA

PRZEZ

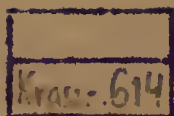
J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1885.



Доволено Цензурою.
Варшава, 12 Іюля 1885 года.



Jak najstarszych ludzi pamięć sięgała, nigdy jeszcze nic podobnego nie trafiło się na kilkadziesiąt mil w okóło.

Bywały historye straszne, dziwne, jakichby się nikt spodziewać nie mógł wśród dworów spokojnych obywateli; — kilka panien nader przyzwoitych i dobrze urodzonych dało się wykraść, ale natychmiast błogosławieństwo kościelne wybryk ten rozgrzeszyło: klócili się ze sobą bracia aż do porywania na siebie i odgrózek. ale sąd polubowny zaraz zgodę ułatwił; sędzia poróżnił się raz z żoną tak, iż od niego do klasztoru Brygidek uszła — ano na drugi tydzień przebłagał, powróciła i żyli jak najzgodniej. W Zohorowie pokazywał się duch i łomotało na strychu, a po kilku pobożnych ofertach zupełnie straszyć przestało...

Takiej jednak przygody, jaka w Orygowcach zaszła ostatnich dni Sierpnia 182 .. roku, nie było przykładu od wieków. Nikt sobie tego wytłumaczyć nie mógł i nie umiał, ludzie głowy łamali napróżno.

Na kilkadziesiąt mil w okóło też o niczem innem nie mówiono, tylko o tej historii orygowieckiej. —

W Dubnie i w Łucku ktokolwiek zajechał do gospody, pierwsza rzecz, z jaką go gospodarz i faktor spotykał, było opowiadanie o wypadku w Orygowcach... Nawet na traktach po małych karczemkach, po wsiach, w chatach, we dworach, na plebaniach o nim nie mówiono tylko o tem. Bryczki spotykały się na trakcie, wysiadali z nich znajomi i godzinę stali, nie mogąc się o tem nagadać. Listy, posłańce, biedki z żydami latały i do późna spać się ludzie nie kładli, różne powtarzając wersye, dodając domysły, znosząc plotki.

A trwało to nie dni kilka i nie jeden tydzień, bo we wrześniu jeszcze tak się tem żywo zajmowano, jakby dopiero wczoraj wypadek miał miejsce. — Każdy opowiadał inaczej, każdy coś miał do dodania, do objaśnienia, każdy rozumiał to na swój sposób; to pewna, że wszyscy razem nie rozumieli nic i że tak ludzie prywatni, jak urzędnicy nawet, dalsi i bliżsi łamali głowy nad zagadkową przygodą...

W końcu zwykle rozmowę o tym przedmiocie zamykać musiano pocieszającym aksjomatem...

— Czas odkryje! czas wyświeci!

Zestawiając opowiadania różnych osób a szczególnie tych, które w chwili wypadku albo na miejscu być mogły lub od znajdujących się tam dokładnie o wszystkich okolicznościach uwiadomione były — mniej więcej głośnie to i niezrozumiałe zdarzenie — w następujący sposób, zgodnie prawie — opisywano...

Wieś Orygowce leży, jak wiadomo, w okolicy między Dubnem a Łuckiem. Była ona niegdyś gniazdem dosyć zamożnej rodziny Prawdziców Orygowskich. W ostatnich czasach familia ta, podupadając

powoli. zeszła na jedną tylko spadkobierczynią mienia i imienia, pannę Lucynę Orygowską. Ta odziedziczyła już same długie i zaległe podatki tak, że była zmuszoną wieś dziedziczną sprzedać, sama (lat mając czterdzieści kilka) zamieszkawszy przy klasztorze. Z sąsiadów nikt jakoś do kupna się nie zgłaszał. nawet z tych, co mieli sumy na Orygowcach oparte. Wioska była długim nierządem wielce zniszczona. — Budowle ledwie się trzymały. lasy były wycięte ze szczętem, pola pozapuszczane i zajałowiałe, dwór do połowy stał pustką. wyglądało to lichy. a włościanie najbiedniejsi byli w okolicy i rozpojoni przez arędary okrutnie.

Nabywca nie tylko zapłacić musiał za wioskę, ale niemal drugie tyle w nią włożyć zaraz. aby podźwignąć z okropnego upadku.

U nas zaś powszechnym obyczajem jest i było, gdy kto ma sto, nabywać za dwakroć, chociaż zdrowy rozum radziłby kupować za pięćdziesiąt. Nikomu się nie chciało znacznych pieniędzy, jakich wymagało nabycie, wkładać w majątek niewielki i opuszczony... Już miał pono nawet iść na licytację, bo rządowych zaległości było wiele, gdy żyd. Josiel Maruda zwany. z Dubna, przywiózł dla obejrzenia miejscowości niejakiego pana Daniela Tremmera.

Był to człowiek obcy, opowiadał się obywatelem z Królestwa, gdzie miał na Mazowszu mały ziemni kawałek. Tu nikt a nikt go nie znał. Wyglądał dostojnie ale skromnie. Nie miał z sobą własnego nawet powozu i przybył na pocztowej bryczce. Cały dzień jeden i część następnego poranku strawił na rozpatrywaniu się w Orygowcach, objeżdżając pola, łąki, lasy.

obchodząc budynki, dowiadując się o granice. Nawet z włościanami zgromadzonymi w karczmie dużo i długo mówił. Człek wydawał się bardzo stateczny, poważny, powolny, małowówny, skromny. Naówczas młodym się mógł nazwać, bo nie miał nad lat dwadzieścia kilka do trzydziestu, ale dojrzalszym był nad swój wiek. Ci z miejscowych ludzi, którym nieład był na rękę i ooby anarchią radzi byli przeciągnąć, starali się wszelkimi sposobami zrazić przybysza, opowiadając mu, ile to tu kłopotów mieć będzie na karku, ile zająć, ile wydatków. Przybyły wcale się jednak nie zniechęcił — i owszem badał, rozpatrywał, notował, a gdy drugiego dnia do Dubna powrócił, rozeszła się zaraz wieść, że wioskę kupuje.

Nabycie takich Orygowiec wcale nie było łatwym. Gdyby się ludzie dowiedzieli, że jest ktoś zgłaszający się do nich z pieniędzmi, posypałoby się zadawnionych, odwiecznych różnych pretensyi takie mnóstwo, że sobie z nimi radyby dać nie było można. Człowiek wszakże chłodny, rozważny, cierpliwy, jak siadł przybrawszy sobie prawnika do pomocy, jak rozpoczął układać się — w kilka tygodni tabele długów i pretensyi ułożył i ostatecznie wieś kupił.

Panna Lucyna Orygowska dostała tysiąc złotych dożywotniej pensyi, małą ordynaryą w dodatku i po najdłuższem życiu miała do rozporządzenia jeszcze na wiosce sumkę dziesięciu tysięcy złotych...

O nabyciu tem naówczas sąsiedzi, podkomorzy Trzeciak, panowie Hornowscy i inni bardzo rozmaicie sądzili. Były o to spory i zakłady. Podkomorzy przysięgał, że pójdzie przybłęda z torbami, Hornowscy

utrzymywali, że się doskonale obliczył. nabył tanio i robi majątek...

Jak tylko transakcyja podpisana została. nowy nabywca przybył na grunt i wieś objął.

Musimy sięgnąć tych dziejów starożytnych, które o lat kilka wypadek, o jakim się ma mówić poprzedziły, gdyż inaczej jeszcze by on mnie zrozumiałym.

Życie nowego dziedzica, pana Daniela Tremmera było szczególnego rodzaju. Każdy przybywający w nieznany kraj i świat stara się zwykle zawierać pewne stosunki, poznać i zyskać życzliwość sąsiadów. Pan Daniel zakopał się całkowicie w domu i poświęcił cały dźwignięciu z ruin nieszczęśliwej wioski.

Było to widowisko dla starych, osiadłych tu od dawna gospodarzy bardzo zajmujące, jak ten człowiek, nie znający stosunków, warunków. nie pytający nikogo, odosobniony. dawał sobie radę. Nie mówiono po dworach o czem innem. Komedya była bezpłatna. bo się bez omyłek i strat nie obeszło. Jeździli sąsiedzi jeden do drugiego na wista, opowiadając o przygotowaniach pana Daniela i śmieli się z niego, aż boki zrywali.

— Dobrze mu tak — mówił podkomorzy do swoich — niechaj płaci za naukę, kiedy ludzi radzić się nie chce...

Ciekawość była rozbudzoną do najwyższego stopnia — zaglądano. jeżdżono umyślnie na Orygowce, nadkładając nawet drogi. stawano w karczemce, rozpytując arędarza. Arędarz, który już tylko starego kontraktu dotrzymywał a miał przed sobą zapowiedzianą rumacyą, w gniewie na nowego dziedzica bajki o nim siał i dziwolągi opowiadał.

Od niego to dowiedziano się i o tem, że pan Daniel Tremmer był wyznania ewangelickiego a nie katolik, jak reszta okolicznego obywatelstwa. To także nie mówiło za nim, koso nań spoglądano.

Po roku jednak wszyscy, nie wyjmując podkomorzego Trzeciaka, musieli *nolens volens* przyznać, że wcale nie był tak niezdarny i tak nieopatrny, jak się zrazu zdawało. Orygowców już poznać nie było można. Budowle gospodarskie znacznym kosztem wznosiły się bardzo porządne, nawet z muru—o co w okolicy było trudno; grunta pomierzono i podzielono na nowo. włościanom dano zapomogi, pijaństwa się przez pilny dozór ujęło.

Tylko — przeciw powszechnemu obyczajowi, bo kto inny byłby naprzód swój dwór paradny postawił, pan Daniel natomiast dom mieszkalny stary jako tako przesypał, połatał, pokrył, obmazał, wyreperował, zmniejszył i został w bardzo skromnym na dalej.

— Z tego to tam nigdy sąsiedztwa, pociechy nie będzie, cicho mówił podkomorzy, to człek nie naszego autoramentu i temperamentu... a no—wola jego, niechaj sobie żyje, jak chce...

Utwierdzono się wkrótce i w tem przekonaniu, że musiał być, mimo bardzo skromnego życia, człowiek majątny. Pieniądzy wydawał bardzo wiele i gotówką wszystko płacił.

Pan Roch Zmulski śmiał się tylko, odpowiadając:

— Żebym tyle grosza miał, tobym klucz nabył nie taką nędzną wioszczynę, a to głupi człek — pakuje

w taki folwarczek kapitały. które mu się nigdy nie wróca.

Tak to się ciągnęło dalej.

Pan Daniel nie szukał znajomości, lecz dzikim nie był. we wielu razach okazał się uczynnym, a do kogokolwiek wypadkiem się zbliżył, uprzejmym był i grzeczny. Stosunków nie szukał, to prawda, ale od nich nie stronił.

Ciekawość, jak oto ten sam wspomniany p. Roch pod pozorem najęcia sianożęci, których Orygowce miały do zbytku i dawniej je najmowały, pojechał do p. Daniela, a opowiadał, iż przyjął go bardzo uczciwie — nakarmił i напоił i konie do stajni wziąć kazał. chociaż sianożęci nie najął, oświadczywszy, że robotnika przynajmniej a sam je pokosi, bo siano na gruncie powinno być skonsumowane, aby majątek nie niszczał. W domu, jak mówił p. Roch od komina do komina... powtarzając go wszędzie, przyjmowany z wielką ciekawością, bo ten Tremmer był dla wszystkich zagadką.

Przecież wszystko na świecie spowszednieje, w końcu, oswojono się z p. Danielem, a do zamilczenia o nim, przyczyniło się to szczególnie. że mu się nadzwyczaj wiodło. Wszyscy ci, którzy prorokowali klęski i ruinę, woleli teraz nie wiedzieć o nim i nie mówić, niż przyznać się, że się grubo omylili. — Wy-myślano różne dziwaczne rzeczy na przybysza... śmiało po trosze i na tem się skończyło.

Powoli nawet porobiły się znajomości. Z Orygowcami graniczyły Murawce pana prezesa Boromińskiego; — na przestrzeni pół mili schodziły się z sobą

te dwa majątki. Były stare spory o worywanie się w grunta, o cypel lasu, o używalności i t. p.

Stary pan Boromiński był człek wielkiej powagi i statysta szanowany powszechnie, — surowego obyczaju, skąpy, rządnym, pracowity, a przy tem laudator temporis acti, nowych ludzi i rzeczy nie lubił. Nie podobało mu się zrazu sąsiedztwo przybysza, że zaświata, nieznanego w powiecie, kto wie, jakiego tam szlachcica, protestanta... przybłądy.

Strasznie na to narzekał, że się na Orygowce między obywatelami kupiec nie znalazł. — Po czasie zaczął mówić, iż samby był kupił, gdyby mu byli Lubomirscy w porę kapitał oddali. — Wśród tych głośnych oświadczeń przeciwko p. Danielowi jednego dnia, gdy się jak najmniej spodziewano, zajechał przed dwór w Murawcu nowy sąsiad. Zrazu była nawet kwestya, czy go przyjąć; stary Boromiński czmychał, prychał, w ostatku wyszedł do niego.

Wyobrażał go sobie wcale inaczej. Znalazł młodego jeszcze, bardzo przyzwoicie i poważnie wyglądającego człowieka, który pomimo dosyć z razu kwaskowatego przyjęcia umiał się znaleźć: z uszanowaniem począł rozmowę, jasno przedstawił potrzebę załatwienia wszelkich kwestyi granicznych, ofiarował się z gotowością ze swej strony poświęcenia nawet temu pewnych pretensyi i — w parę godzin prezesa zupełnie sobie zjednać potrafił. Stało się to tak jakoś nieznacznie, stary się rozruszał, rozgadał, poczuł doń sympatyą, zaprosił nawet na obiad i niemal do wieczora zatrzymał.

Do obiadu wyszła panna Leokadya Boromińska, córka jedyna prezesa, z ciotką swoją panią Wychliń-

ską. wdową po rejencie łuckim. Z wielkiem zdziwieniem swem ojciec się dowiedział. że pan Daniel znał jego córkę z czasów, gdy była na pensyi w Warszawie i że się tam ta młodzież na lekcyach tańców widywała.

To nie bardzo w smak poszło Boromińskiemu, ale że pan Daniel wcale mu się z mocy tej znajomości do córki nie zbliżał. więc puścił płazem.—Ciocia Wychlińska najwięcej prowadziła rozmowę.

Po tej pierwszej bytności, mimo gotowości do układów, gdy się zaczęły rozpatrywania map, komportacya dokumentów, prowadzenie nowych duktów, sypanie kopców, panu Danielowi wypadło kilkanaście razy być w Murawcu. — Prezes, ścisły przestrzegacz etykiety, oddał mu swoje odwiedziny w Orygowcach, a powróciwszy ztamtąd odchwalić się nie mógł, jak to tam wszystko na korzyść się zmieniło, jaki był ład, porządek i czystość... Byłby nawet przystał zupełnie do p. Daniela, bo mu się człowiek podobał bardzo — gdyby nie to, że naprzód odstręczało go wyznanie obce. a prezes był katolik gorliwy bardzo, powtórę — jak on sam mówił — origo!

Nie robił z tego tajemnicy p. Tremmer, że dziad jego był fabrykantem powozów w Warszawie, że się z bogacił pracą i że czasu owego sejmu, gdy nobilitacyami sypano łatwo bankierom i kupcom, gdy Tepperowie, Szulc, Kalryt, Blanc. Dangiel i wielu innych pobrali szlachectwa, Tremmer także dostał nobilitacyą. Wówczas to, ponieważ do roku nowy szlachcic musiał majątek ziemski nabyć najmniej za pięćdziesiąt tysięcy — kupił wioseczkę na Mazowszu.

Tego pochodzenia p. Daniel nie ukrywał ani się z niem tał... Rozeszło się to po sąsiedztwie i przezywali go to kowalem, to lakiernikiem, to stelmachem, ale mu to na zdrowiu nie szkodziło.

Stary Boromiński, choć czmychał na Daniela, lubił go... przyjmował, sam jeździł do Orygowiec i miał widoczną słabość do człowieka.

To mu się tylko w nim nie podobało, że jakoś nadto blisko ku pannie Leokadyi się podsuwał, a ciocia Wychnińska, ~~co~~ miałyby przeszkadzać i odstręczać, zdawała się zbliżenie ułatwiać.

Panna Leokadya miała już naówczas lat dwadzieścia sześć. bo przebierając między pretendentami doszła do tego wieku. Nikt się jej podobać nie umiał. Ojciec zaś narzucać gwałtem nikogo nie chciał, zapowiedział tylko, że sobie *vet o* zastrzega; że nie musi iść, ale za tego, kogo on sankcyonować nie będzie — nie dopuści.

Starał się pan Roch, starał młody Trzeciak, dwóch Hornowskich, jeden Załęski, — zresztą trudno to wyliczyć. wszyscy dostali odkosze. Ojciec czmychał, jak to miał we zwyczaju.

— Asińdzka. mawiał, chcesz jakiegoś kawalera z romansu... a takiego nie znajdziesz. Między tymi odprawionemi są tacy, z którychby rozumna kobieta mogła wcale znośnego zrobić męża... A no — jak sobie chcesz... nie zmuszam! tylko respice finem, żeby stara panną nie zostać.

Gdy się tu pan Daniel wnął — jak mówił pan Roch — wszyscy dawni konkurenci zaczęli pilnie wglądać, co też to z tego będzie. Każdy z nich czuł się z góry obrażonym samą myślą, żeby ktoś taki nad

niego mógł być przeniesionym. Uspokoili się jednak po jakimś czasie bo choć Daniel bywał u Boromińskiego i stosunki przyjazne trwały, prezes otwarcie i głośno zaprotestował, gdy mu ktoś z przypuszczeniem wystąpił, że p. Daniel starać się może — iż ni gdyby na to nie pozwolił, aby panna Boromińska poszła za jakiegoś Tremmera.

— Człowiek stateczny; dobrze wychowany. w gło wie dobrze, w kieszeni też. ale grzech pierworodny na nim ciąży — to darmo. Niechaj się sobie z niego skartabellat gdzieindziej obmywa...

Tak mówił prezes i głośno i przy córce, a ciocia Wychlińska patrzyła to na ojca, to na pannę Leokadyą i milczała.

Z innych względów paraby była dobrana i temperamentem i wiekiem i humorem. Pan Daniel był bardzo przystojny mężczyzna, postawy szlachetnej. rysów twarzy całę pięknych, brunet. słuszny, gibki, a że pracować lubił i żył w ciągłym ruchu, znać w nim było wyrobioną siłę i zdrowie żelazne. Konno. pieszo na polowaniu, w podróży, zimą w mrozy wytrzymywał. coby innych o chorobę przyprawiło. Wychowanie odebrał takie, iż mu żadne męzkie zajęcie obce nie było; strzelał doskonale. dzikie konie sam najeżdżał, pływał, chodził, że z nim nikt nie mógł pójść w zawody. Przy tem człowiek był wykształcony, czytany a nie popisujący się z niczem. Milczał więcej, aniżeli mówił — cierpliwy był niezmiernie i nikt go nigdy w pasyi nie widział, choć na Orygowcach z początku łatwo było można stracić głowę, mając do czynienia z ludźmi popsutymi.

Mimo tych przymiotów, wyjąwszy pana Borońskiego, innym się nie podobał... Sensatem go nazywano i młodzież go nie lubiła, bo od hulanek stronił a do zabawy stworzony wcale nie był.

Od osiedlenia się pana Daniela w Orygowcach upłynęło lat kilka, a w położeniu jego nic się nie zmieniło.

Przyjaciół sobie nie zaskarbił ani też nie powaśnił z nikim; cierpiano go, zazdroszczono mu, mówiono o powodzeniu gospodarstwa z przekąsem. ale nie dał powodu do zwady nikomu. Z Orygowiec owych. najgorszej wsi w całej okolicy, zrobił prawdziwe złote jabłko. Zaprowadził owce, zakupił bydło bardzo piękne, inwentarz aż do świń najlepszej rasy pościagał z zagranicy — mierzwił ogromnie i miał urodzaje bezprzykładne. Śmiano się z niego zrazu, że łany z razu pozmniejszał, folwarki z jednego dwa zrobił, obsiewał mniej, ale przekonano się potem, że zbierał więcej. — Na zasiew kto chciał odnowić nasienie. powszechnie kupowano u niego, tryki z owczarni przedawały się drogo, byczki także. Nieprzyjaciele nawet zgodzili się na to, że naokoło lepszego nigdzie gospodarstwa nie było.

— Wielka sztuka — mówił p. Roch — dajcie mi tyle pieniędzy, co on w to włożył. to ja też na Malinie tego dokażę. Drugieby Orygowce kupił za to, co w nich siedzi.

Dwór w Orygowcach został, jak był, nieco tylko wyporzadzony i zrobiony zacisznym i wygodnym, — a tak niepozornym, iż wśród paradnych budynków gospodarskich śmiesznie się wydawał; tem dziwniejszem to było, że około dworu ogród utrzymywano starannie,

kwiaty były śliczne, oranżeryjka nawet. inspekta ogromne, a z zapuszczonego sadu i szpalerowego ogrodu zrobił pan Daniel cacko. Boromiński jeździł tam na melony, które bardzo lubił. bo takich nigdzie znaleźć nie było można.

W tem jednym miał p. Daniel fantazją pańską, bo zresztą żył nadzwyczaj skromnie. Cztery konie i bryczka najtyczanka, jeden służący warszawski, Franciszek, chłopak wyrostek przy kredensie, Jurek, klucznica. wdowa już nie młoda, pani Słońska, składali cały dwór. Ekonoma miał z Bóznańskiego, niejakiego Brauna.

Życie upływało cicho, przy pracy, gość był rzadki, on też. wyjąwszy do Murawca mało wyjeżdżał... W dzień około gospodarstwa, wieczorem nad książką się zabawiał. Z prezesem Boromińskim był najlepiej, tak, że zastrzegłszy się tylko z góry, aby o panie Leokadyi nie ważył się myśleć, zresztą lubił go stary i wabił. A choć p. Daniel w bardzo dobrych był stosunkach i z panną i z ciotką, nie uderzało nic takiego, coby się miłostek jakichś dawało domyślać.

Prezes nie raz westchnął: — Żeby nie ten grzech pierworodny!! a z tego, co raz powiedział, nie ustępował nigdy... Wolno było panu Danielowi z panną pogadać, pośmiać się, książki jej posyłać, grzeczność jaką małą wyświadczyć — na tem koniec. Stosunek był przyjacielski. sąsiedzki — nie więcej.

Że Murawiec wioska była. co się zowie. a i bez kapitału nie był Boromiński. oprócz tego, który miał u Lubomirskich, że w Sandomirskim jeszcze bezdzie-

tną miał siostrę, po której dziedziczyła panna Leokadya — na starających się nie zbywało.

Mimo danej kilkom odprawy, każdemu kawalerowi zdawało się, że on będzie szczęśliwszy. Sadzili się biedacy na koniki, liberye, na koczce, na garderoby, starali przypodobać się pannie. ująć ciocię, która bardzo kochała ją — zyskać sobie ojca... nic nie pomogło. — Panna Leokadya nadzwyczaj grzecznie przyjmowała kawalerów a długo im się łudzić nie dawała. Jeden po drugim odjeżdżał, nie przyznając się, że dostał harbuza. Prezes burczał — a cóż miał począć, trzymał się swojego: nie narzucać nikogo a *vet o* przy sobie zachować. Ale tego ostatniego prawa nie mógł na kim innym zużytkować oprócz jednego pana Daniela, o którego staraniu się formalnem nigdy nawet mowy nie było.

Pan Daniel Tremmer, o którym musieliśmy się rozpisać nieco obszerniej, zajmował w przebudowanym przez siebie dworze po prawej stronie dwa pokoje. — W środku była obszerna izba gościnna, inaczej pokój bawialny, urządzony skromnie ale ze smakiem. Drzwi z niej jedne wychodziły do sieni, drugie szklane na ogród. W lewo był pokój jadalny a za nim izba zajmowana przez klucznicę i ochmistrzynią

panią Słońską, od której wychodziło się do garderoby i spiżarni.

W prawo z pokoju bawialnego był rodzaj gabinetu, w którym stało parę szaf z książkami, a za nim sypialnia p. Daniela z oknem na ogród.

Wszystko to musimy* opisać, gdyż inaczej nie zrozumiałby czytelnik tego, co nastąpi. — Ogród stary, teraz tak troskliwie utrzymywany, wyświeżony i piękny, ciągnął się wzdłuż na kilkaset kroków i kończył płotem mocnym, za którym szła drożyna, łączka i staw. Brzegi jego obrastały trzciny, sitowia, tataraki i bujne zielska. W prawo po nad stawem wysypa na wysoko grobla prowadziła pod młyn i dalej jako gościniec do miasteczka.

Ostatnich dni sierpnia pan Daniel, który jeździł do Warszawy i powrócił był na żniwa, jak później opowiadała klucznica, chodził wprawdzie zamysłony i jakby chmurny, ale nadzwyczajnej w nim zmiany nie dostrzegła, ani Franciszek, ani ekonom.

W wigilią tego dnia, gdy nieszczęście owo się stało, — najmniejszej różnicy w porządku codziennego życia nie było.

Powiadała pani Słńska, potwierdzali wszyscy dworscy ludzie, że pan Daniel o zwykłej godzinie w pole jeździł, na obiad do domu wrócił, jadł z apetytem barszcz z sztukamięsą, potem pieszo wyszedł przez ogród na łąkę i ku młynowi — nad wieczór na herbatę wrócił, a że deszczyk kropił, został potem w domu i już się nigdzie nie ruszył. Ponieważ wieczery nie jadał — a sługi nie potrzebował. Jurek, podawszy lampę do sypialnego pokoju na stół do pisania, poszedł. Franciszka w domu nie było. bo go wy

słano po sprawunki do miasteczka. — Ogrodnik później oświadczył, że w pokoju sypialnym światło do godziny dwunastej widział..

Nazajutrz rano Jurek przyszedł po suknie i buty, które zwykle leżały w gabinecie przed sypialnym pokojem, tu ich ~~nie~~ znalazł. Sądząc, że pan zapomniał je tu położyć, a widząc, że godzina, o której się budził, nadeszła, z wolna otworzył do sypialni drzwi... a tu uderzył go widok, który chłopca przeraził.

W sypialnym pokoju panował ogromny nieład, rzeczy były porozrzucane, szafa otwarta. biórko rozsunięte, papiery walały się po podłodze... i okno od ogrodu znalazł otwarte. Okiennica, jakby gwałtownie popchnięta, zerwała się nawet z jednej zawiasy.

Łóżko pana Daniela zmięte było, zduszone dziwnie, ale jego nigdzie ani śladu. Suknie, które miał na sobie wczoraj, przy drzwiach leżały. — Jurek przelekły wpadł bez mowy prawie i nieprzytomny do pani Słońskiej, krzycząc...

— Pani! pani! nieszczęście się jakieś stało... Pana nie ma... okno w sypialni wybite...

Ochmistrzyni z razu nie zrozumiała, ale pobiegła za chłopcem, zajrzała do pokoju i o mało nie zemdlała.

Jurek bez tchu pobiegł do ekonoma, ekonom już był na polu...

Ponieważ i Franciszek jeszcze z miasteczka nie powrócił, nie było nawet kogo wezwać... Dziewczynę posłano po ogrodnika. bo panią Słońską strach paniczny ogarnął, głowę zupełnie straciła.

Ze stajni rozbiegli się ludzie, czy kto nie widział pana—ale nigdzie śladu jego ani słyhu... Fornal konno pojechał w pole po ekonoma, który z razu go sfukał, że bredzi. przybył jednakże i tak się przeląkł jak drndzy. nie mogąc pojąć ani zrozumieć, co się z panem Danielem stało.

Wśród tego zamętu najtrzeźwiejszej głowy i najroztropniejszy z nich Franciszek. lokaj, wrócił z miasteczka... Wszyscy się rznieili do niego. I ten trochę osłupiał. nie mogąc pojąć, co się stało, a tylko potem zmiarkował, że tu coś takiego zaszło, co się bez sądu i śledztwa nie obejdzie.

Wyprawił więc Branna do pana asesora Zdenowicza z prośbą, aby natychmiast przybywał... Trwoga ogarnęła dwór niewypowiedziana... Nikt ruszyć się i tknąć nic nie śmiał, lękając się, żeby nie być potem za co odpowiedzialnym.

Pani Słońska płakała.

Jeden ogrodnik był jeszcze tak przytomny. że od okna sypialnego pokoju począwszy zaraz poszedł śledzić, czy jakich znaków nie było.

Z wieczora, jakeśmy mówili. padał deszczyk, gliniasta ziemia rozkisła była... Zaraz pod oknem dostrzegł Paweł połamane kwiaty i po ziemi pas, jakby coś tędy ciągnione... Idąc śladem dalej, wszędzie w ogrodzie aż do furtki w płocie, wychodzącej na drogę ku łące spotykał wyciśnięte stopy męzkie i wytarte ziele... Furtka miała skobel złamany... Za nią na trawie idąc w staw połamane były tataraki. pogięta trzcina... podeptane ziele... i tu Paweł znalazł pańską chustkę od nosa lekko skrwawioną, którą zaraz zaniósł do dworu.

Odkrycie to pomnożyło jeszcze przestrah i przekonanie, że nocą jakaś napaść miejsce miała na dwór, że prawdopodobnie p. Daniela zabito... a ciało gdzieś ukryte zostało dla niepoznaki. — Zdawało się tem prawdopodobniejszem. iż żelazna szafa stała otworem a z niej pieniądze znikły, choć wiadzano, że p. Daniel nigdy bez kilku najmniej tysięcy rubli nie był. Franciszek świadczył. że z Warszawy sumę znaczną przywiózł...

Do przyjazdu pana asesora Zdenowicza dwór cały w płaczu i strachu jak skamieniały siedział przed pokojem sypialnym... Słońska mdlała kilka razy, Jurek jeden skorzystał z chaosu i, jak się później okazało — chwili tej tragicznej nie szannjąc, zbiegł na inspekta, aby kilka ogórków pochwycić.

Dobrze już z południa zawiadomiony o wypadku asesor Zdenowicz, który był w przyjacielskich stosunkach z p. Danielem. nadjechał z pisarzem.

Nie możemy tu pominąć p. asesora, nie dając go bliżej poznać czytelnikom. Dawny wojskowy. dziedzie trzech chłopów około Łucka. pan Bernard był człowiekiem dobrym, miłym i powszechnie lubionym. — Z ciężkich swych obowiązków starał się zawsze tak wywiązywać. aby był i wilk syty i koza cała. Niedominki podatkowe zdobywał więcej prośbą niż groźbą; do środków gwałtownych niekał się rzadko, ze wszystkimi żył w dobrych stosunkach. a mimo to mógł się pochwalić, iż w jego części zaległości było może mniej niż gdzieindziej.

Słabostkę miał jedną. że grać lubił. Grałby był dzień i noc, gdyby mógł w taką grę, jaka się komu podobała. Umiał wszystkie doskonale, mimo to całe

życie przegrywał. Dla tego, choć mu się nie źle działo, nigdy grosza przy duszy nie ntrzymał..

Mały, krępy. rumiany, żywy. — gburowaty był pozornie, krzykliwy. ale go się nikt nie lękał..

Już z tego powodu, że osobiście z panem Danielem w przyjaznych był stosunkach. już dla tego. że w ogóle kryminalnych spraw nie cierpiał -- przybył w złym humorze. zafrasowany i przełknięty odpowiedzialnością. jaka mogła wyniknąć, gdyby najmniejszej formalności zaniedbał.

Widać było po jego twarzy. że pokoje same i widok miejsca. w którym tajemnicza jakaś zbrodnia popełniona została — czyniły na nim głębokie wrażenie. Ludzie płaczący zgromadzeni w bawialnym pokoju — dziedziniec pełen włościan... twarze wybladłe dworskiej służby do reszty animusz mu odebrały.

Miał z sobą sekretarza Małejkę. bardzo przebiegłego człowieka. który mu w takich drażliwych rzeczach doskonale posługiwał; i teraz więcej na niego rachował niż na siebie. Małejko służył w różnych policyjnych obowiązkach już od lat przeszło dwudziestu i miał wielkie doświadczenie. O ile asesor Zdenowicz skłopotany był tą misją, o tyle Małejko znajdował przyjemność prawie w podobnym wypadku. Lubił on niezmiernie rozplątywać węzły najzawilsze i w sprawach ciemnych dobadywać się światła. Im truniejsem się co przedstawiało, tem nęciło go więcej. Sławnym był nawet z tego. że kilka razy w sprawach o kradzieże, które się po lat wiele ciągnęły bez skutku, gdy już zdawały się zrozpaczone, po najmniejszej nitce doszedł do kłębka.

Małejce oczy się aż świeciły z wielkiego zapалу, zacierał ręce, tarł czuprynę i gdy Zdenowicz ociągał się nieco z wnijsciem do sypialni, począł go do niej wyprzedzać.

Widok pokoju, gdy oba stanęli w progu zastanowił ich mocno... Oka Małejki nie uszła rzecz najmniejsza, otwarte okno, wysadzona okiennica, szafa otworem stojąca, łóżka przewracane..

Zdenowicz milczał przybity — od czego było zacząć — co robić? jak tu spisywać protokół? Popatrzał na towarzysza, usta wykrzywił, ramionami ruszył...

— Djabli wiedzą, co to jest? rzekł cicho.

— Nie trzeba nic poruszać — nie tykać! zawołał Małejko — najmniejsza rzecz może być jaką poszlaką? Czy nikt nie wchodził do pokoju...

— Oprócz Jurka, który z rana pierwszy po pańskie suknie chciał wniść — nikt a nikt. odezwiała się Słońska — myśmy tylko z progu popatrzyli i pociiekali.

— Bardzo dobrze — rzekł Małejko — do protokołu siądziemy tu obok w gabinecie... Czy ludzie wszyscy są dworscy, nikogo nie brak?

Braun zaręczył, iż wszyscy byli i są. — dodając, że pan Franciszek, jeden przez pana wysłany wczoraj do miasteczka, nie nocował w domu, a wrócił dopiero, gdy już wszystko było odkryte.

Asesor milczący, ponury, rzucił się na krzesło za stół. Małejko dobył papier, kazał dać piór i atramentu i polecił, aby wszyscy dworscy na zawołanie czekali. Skinął tymczasem na ekonoma, ażeby póki się nie naradzą z panem asesorem, poszli na ustęp do

jadalnego pokoju. Na rozkaz ten cofnęli się tedy i pani Słomska, ciągle oczy chustką ocierając, ustąpiła do swego mieszkania.

Małejko przeszedł się po izbie, oglądając drzwi i chcąc się przekonać, czy ich kto nie podsłuchuje. — Zdenowicz z desperacyi dobywszy paczki. Zukowa fajkę nakładał.

— Jakże ci się zdaje? co to jest? co to może być? szepnął wzdychając Zdenowicz... Ja w tem widzę okropny dla nas kłopot...

— A ja przyznam się panu, na punkt honoru biorę, żeby dojść właśnie, co to za historia! To nie jest prosty i zwyczajny napad i grabież o zabójstwo!

Niechno pan uważa... W pokoju sypialnym wszystko jak psu z gardła wyjęte... do góry nogami, żelazna szafa otwarta... rzeczy porozrzucane, okno wyłamane... a ani krwi śladu. ani trupa? Cóż się stało?

— Co się stało? oczywiście rabusie musieli go zakneblować, wyciągnąć z sobą i gdzieś trupa rzucić czy do wody czy zakopać, aby śladu morderstwa nie było. Wszakże słyszałeś, co w ganku nam już opowiadał ogrodnik o śladach wleczenia od okna do stawu i o chustce zakrwawionej, którą złożył do akt.

Małejko pomyślał.

— Jakimże sposobem szamotania się, krzyku, łamania, całego tego harmideru nikt w domu nie słyszał? zapytał.

Asesor ramionami ruszył.

— Co my tu będziemy mądrywać nadaremnie, na-przód ludzi wziąć po kolei na spytki.

— Bardzo dobrze — potwierdził Małejko siadając i rychtując także pieprzowy cybuszek do fajki — kogo naprzód?

— Mnieby się zdawało marszcząc brwi, odezwał się asesor—chronologicznie trzeba śledztwo poprowadzić.

Usłyszawszy ten wyraz w sądownictwie i protokółach nie bywały — Małejko popatrzał wielkimi oczyma na asesora i nie chcąc się kompromitować ani pytaniem, ani zaprzęceniem, ani zbyt pospieszną zgodą, zaczął kaszleć.

Tymczasem Zdenowicz zamyślony już co innego miał w głowie.

— Mój Platonie (Małejko imie miał Platon, a po ojcu Synforionowiczem się nazywał) — powiedz ty mnie—miał ten człowiek nieprzyjaciół? he?

Małejko dumiał.

— Przyjaciół wielkich nie miał, ale i wrogów także... a to panie asesorze nie żadna zemsta, — tylko wprost rozbój. Ludzie wiedzieli, że pieniądze ma, zasadzili się, obrabowali—znać że się bronił — i zabili...

— Niechno pan zważa—dodał — kto najlepiej wiedział, że pieniądze ma? domowi? komu było wleść i napaść najłatwiej? hml I całą rzecz tak poprowadzić żeby konce w wodę powpadały? he?

Asesor podniósł głowę, obejrzał się, położył palce na ustach i dał znak milczenia.

— Co tu zawczasu wyrokować — rzekł cicho — chodźmy, obejrzmy jeszcze raz od progu pokój sypialny.

Małejko nie był temu przeciwny.

Poszli. Dzień był jeszcze jasny i wszystko widać było najdokładniej.

Łóżko przewrócone było i w nieładzie, lecz baczniejszy Małejko postrzegł, że nie miało pozoru, jakby na niem kto część nocy przebył,—zdawało się niby umyślnie pościągane, pomięte... Na podłodze rosesłany dywanik cały pogarbiony i z podłogi zerwany, zdradzał, że po nim coś ciężkiego sunięto. Na podłodze mnóstwo różnych walało się papierów podartych, poduszonych, a w kominie kupką popiołu dowodziła, że wiele ich spalono.

— Prości rabusie po co by mieli papiery palić? — rzekł Małejko — co im do papierów? hm? A jednak papiery tak świeżo spalone, że jeszcze się ich żuźle trzymają w kupie. Co to znaczy?

— To źle znaczy! to djabeł sam wie, co znaczy! odparł asesor. to historia taka. na której my z waćpanem oba łby potracim. — Tu trzeba nadzwyczajnej ostrożności. — Okno należy zaraz kazać zamknąć i opieczetować, pokój zamknąć i opieczetować, straż postawić i nic nie tykać... dom opieczetować! ludzi arestować co do nogi! To nie jest pospolity wypadek! — Pan wiesz, czem to pachnie...

— Ale panie asesorze — przerwał Małejko — niech to sobie śmierdzi czem chce, — na nas najważniejszy spadł obowiązek na świeżym razie spisać protokół i stan rzeczy zweryfikować.

— Wszystko opieczetować! — zawołał asesor — nie tknę nic — odpowiedzialność ogromna; niech ześlą komisję, niech śledzi kto chce... ja się waćpanu przyznam — ja się boję.

— A ja, panie asesorze, aż mi ślinka ciecze—począł Małejko — a to aż miło taki interes mieć w ręku. Gdzieżby się człowiek popisał, że ma trochę sprytu, jeśli nie na takiej sprawie?

— No—no—ja wolę mieć święty pokój, niż spryt—mruknął Zdenowicz—wolę guza nie szukać.

Wyszli tedy jak weszli — i zasiedli do stolika. Zawołano Jurka do śledztwa. Małejko naprzód mu się dobrze przypatrzył. Chłopiec mógł mieć lat czternaście do piętnastu, z oczów mu patrzyło bystro; koło ust niby śmieszku ironicznego zabytki widać było — choć teraz drzał i wcale mu się na uśmiech nie zbierało...

Na zapytanie co za jeden jest, wyrecytował jak pacierz, że ze wsi sierota, ojciec służył dawniej za leśniczego, że rodzice go odumarli, wzięty był do dworu i zostawał przy kredensie. Przyznał się, że się sam z ochoty czytać i pisać nauczył.

— Proszę jaśnie pana—dodał żwawo—nieboszczyk jaśnie pan miał zwyczaj, że bywało jak się rozbierze, to suknie tu na krzeselku kładzie, a ja rano biorę, czyszczę i znowu wszystko w tem samym miejscu stawiam. Dziś rano, proszę jaśnie pana. przychodzę, nie ma sukni. A że kilka razy się trafiało, że nieboszczyk pan..

— A kąd—że ty wiesz, że nieboszczyk? — podchwycił wpatrując się w niego Małejko.

— Jużci proszę jaśnie pana, a cóżby się z nim stało?

— Mów dalej.

— Tedy przychodzę rano, sukni niema, otworzyłem drzwi pocichutku i ot com zobaczył.

Zaczął płakać.

— Gdzie ty sypiasz? spytał pisarz.

— A w kredensie.

— Czy z kredensu słyszać było gdy pan po pokoju chodził, albo stukał, he? mówił Małejko.

— A jak ma być słyszać, kiedy to z drugiej strony domu, a tyle ścian.

— I w nocy nic nie słyszałeś?

— Nic a nic.

Z chłopca dobyć więcej nie było można, zawołano Pawła ogrodnika.

Paweł też był człek miejscowy, jeszcze młody, oddawał go p. Daniel na parę lat od Strumiły, uczył się czytać i pisać, roztropny był i rozgarnięty bardzo, temperamentu jednak spokojnego i z losu swojego zadowolniony. Od roku żonaty mieszkał w domku przy ogrodzie zdając się zajęty tylko oranżeryjką, inspekcjami i tem. aby z nich mieć dochód jak największy, bo ten pensyą jego powiększał.

Z wielką prostotą i spokojem począł Paweł opowiadać, jak z rana Jurek krzyku narobił, jak na płacz i wołanie pani Słońskiej przybiegł i że mu na myśl przyszło, póki czas od okna iść śladami i szukać, czyby jakich znaków na ziemi mokrej nie było.

— Panowie się mogą jeszcze i teraz przekonać, dokończył, że przez okno coś wleczono aż do stawu. Na ziemi są ślady nóg nie pańskich. bo ja te znam, ale w grubych wielkich butach i jak mi się zdaje, że ich dwóch tam było. Przez cały ogród sunęli coś aż do furtki, furтка była zamknięta, tak skobei słaby też złamali. Dalej w wiszarze i zielsku i trzcinach widać

że się tam ktoś kopał, a na brzegu chusteczkę pańską skrwawioną znalazłem.

Mówił to tak spokojnie, rozważnie i z takim żalem głębokim, że Małejko, który wszystkich podejrzawał, na niego najmniejszej nie mógł powziąć suspicyi. Podobał mu się człek z tego, iż tak sprytnie szukał śladów zbrodni. Zamknąwszy więc drzwi, zbliżył się doń i szepnął na ucho.

— Jak ci się też zdaje, panie Pawle, kogo tu można posądzać? to musi być sprawa domowa?

— Nie, odparł ogrodnik, nikogo tu takiego nie ma ani we dworze, ani na wsi, żeby był do tego zdolny. To jakichś rabusiów zdaleka spisek i napaść. My tu się wszyscy znamy. Każdemu z nas wiadomo, gdzie tej nocy był. Ja spałem w domu u żony, a w sieni u mnie parobek ogrodowy, co widział gdym przyszedł. pan Franciszek był w miasteczku, ekonom na folwaraku, stajenni przy koniach. Toć tu więcej nikogo nie ma! I komuby to nawet na myśl przyszło coś podobnego! Jezu miły! Ani byśmy mogli z temi pieniędzmi dać sobie rady, ani nam są tak potrzebne. — Gniewu i zemsty do pana nie miał uchowaj Boże nikt.

— Jakiś dopust Boży, panie, co przechodzi rozam ludzki.

— Jedno panom powiem, trzeba póki czas ludzi wziąć i na staw pójść i w stawie szukać i brzegi zrewidować, bo ślady pokazują na staw.

Roztropnej tej rady Małejko chwycił się gorąco, Zdenowicz się też nie sprzeciwiał, dnia jeszcze było dosyć, ażeby brzegi od ogrodu z czółnami i siecią i ludźmi przetrząść. Zamknięto więc i opieczętowano pokój sypialny, kilku starszych z gromady zwołano,

kazano niewód wziąć i wszyscy puścili się ogrodem prowadzeni przez Pawła, opatrując jeszcze na ziemi widne ślady przejścia, do furtki. Za nią ogrodnik pokazał połamane trzciny. Staw z brzegu grzędki był ale nie głęboki, weszli więc ludzie rozpatrując się, po kolana w wodę i głębiej, drudzy przyciągnęli czoła, wiosłami macano pod wodą. Opatrzono wszędzie najstaranniej wybrzeże i—nie znaleziono nic. Wycieczka ta w czasie której asesor u brzegu fajkę palił, trwała więcej godzinę i była nadaremna. Powrócono do dworu, rozmyślając. Pani Słońska przygotowała herbatę, znalazł się rum, zasiedli do dalszego protokołu nieco pokrzepieni. Małejko mimo spełzłych na niczem pierwszych kroków, nie tracił nadziei lepszego powodzenia.

Kolej przyszła na pana Franciszka Wierzejskiego, który wszedł ponury i zamyślony. Był to człowiek lat dobrze czterdziestu, zbudowany silnie, z bokobrodami i wąsem rudawym, z kolczykiem w uchu, niby wyglądający na dawnego wojskowego. Twarz miał wyrazu surowego i niechętną, a w domu z powodu milczenia i wiecznie złego humoru nie bardzo go lubiono. P. Daniel tylko przywiązany był doń wielce i miał w nim ufność nieograniczoną.

Franciszek Wierzejski krótkimi słowy, bardzo kwaśno i jakby zbywając się śledztwa, a niewiele go sobie ważąc, odpowiadał na pytania.

Nie podobał się i asesorowi i Małejce. Zeznał, iż był rodem z Warszawy, że służył w wojsku za Księstwa, że Tremmerów znał dawno i u pana Daniela od dziesięciu lat w usługach zostawał.

— Ja tu w tej nieszczęsnej sprawie—rzekł, nic panom powiedzieć nie mogę. Wczoraj posłany byłem przez pana do miasteczka. nocowałem u Mordka Judelowicza, dziś rano wyjechałem na Orygowiec i stanąłem tu, gdy już dwór cały był na nogach... Cóż ja wiedzieć mogę? Dajcie mi państwo pokój...

Małejko jednak tem się nie zadowolnił. Począł dopytywać o godzinę wyjazdu, przybycia o p. Daniela i t. p...

— E! co to wodę warzyć—spluwając zawołał Franciszek — tu i djabeł nic nie dojdzie. Ja nic nie wiem i kwita.

— A cóż waćpan sądzisz o tem?

— Jakże ja mam sądzić o tem. czego nie rozumiem. Zbójców takich i rabusiów, coby się ważyli na napaść, nie ma na okolicę. W domu ludzie poczywi i do pana przywiązani, nikomu jak żyw krzywdy nie wyrządził? Co tu sądzić? To chyba czas odkryć może...

Chmurne jakieś wejrzenie, niechętne odpowiedzi. ponury wyraz twarzy Wierzejskiego. wiele dał do myślenia Małejce. ale postanowił tylko pod tajemny nadzór poddać lokaja i czekać, czyby się jego podejrzenia czemś nie potwierdziły.

Franciszek burcząc odszedł...

Wezwana pani Słońska rozplakała się, poczynając od żałobnych elegji.

— A kto go znał tego człowieka — prawdziwie powiadam — ten jeden ocenić może! Mało takich ludzi na świecie! Światły, dobroczynny... pracowity, najmniejszej dumy—prawdziwie powiadam.

Małejko zwrócił jej uwagę na potrzebniejsze wiadomości.

— Wczorajszego dnia—odezwała się—prawda, że go widziałam ciągle zamyślonym i smutnym... ale zajmował się jak zwykle, a że deszczyk pruszył. wcześniej się udał na spoczynek...

— Pani pokój nie zbyt jest oddalony—zapytał asesora. czy może być, ażeby pani nie słyszała nic?

— Ja się sama wydziwić nie mogę temu, z westchnieniem zawołała Słońska— bo chociaż od sypialnego pokoju dzieli gabinet. bawialnia i jadalnia, ale było gdy jegomość po nocach kaszli, to w nocy czasem słyszę... a tu, proszę państwa... nie! Modliłam się do jedenastej... jeszcze o pół do dwunastej wołałam na dziewczynę, żeby lampkę w komórce, która się u mnie zawsze pali, poprawiła... Cicho było, mogę upewnić w całutkim domu...

— Musiało to zajść po północy... rzekł Małejko.

Rozwodziła się później p. Słońska nad wielu rzeczami nic nie mogącemi objaśnić i ledwie się jej pozbył Małejko... gdy w końcu znowu rzewnie płakać zaczęła.

Z kolei ekonom Braun, ludzie dworscy przychodzili do protokołu... ale najmniejszego z niego światła na sprawę wyciągnąć nie było podobna...

Późno w noc się to skończyło... Małejko po naradzie z asesorem pozostał w miejscu, a Zdenowicz, któremu przykrem było tu nocować. wybrał się mimo pory spóźnionej do Murawca obiecując nazajutrz powrócić.

W Murawcu u Boromińskich już o południu wiadzano o tym wypadku. prezes trzech posłańców wysłał, aby się dokładniej w miejscu dowiedzieć, pisał do Zdenowicza zapraszając go do siebie... ale asesora śledztwa nie mógł odstąpić, dopóki protokół nie był zamknięty, dopiero późno już, korzystając z zaproszenia prezesa. ruszył woląc nocować gdzieindziej niż w tych nieszczęśliwych Orygowcach.

Sądził, przybywszy tu, że już we dworze spać będą i że u rządu się prześpi, ale u prezesa świeciło się jeszcze i służący przybiegł do wrót zapraszając go, ażeby wprost kazał jechać przed ganek!

W sieniach prezes w szlafroku go spotkał, z twarzą zmienioną, rękami załamane, poruszony cały.

— Mój panie Zdenowicz, chodź, proszę cię. opowiedz. Co to jest! co to może być? Czy napaść swoich czy obcych? Nie odkryliście ciała? nie ma na kogo poszlaki? Ja mrę cały dzień z niepokoju, ażeby się co pewniejszego dowiedzieć... proszę cię do mnie. Czekalem z wieczorą, kazałem ci pieczone zostawić.

Milczący wszedł Zdenowicz wzdychając. Prezes zwykle poważny i mierzający słowa, tym razem był jakby w gorące, po twarzy łzy mu płynęły, bo kochał poczciwego Daniela.

— Bóg widzi, odezwał się, żem nikogo tu z sąsiadów tak nie cenił i nie szanował. jak tego człowieka. Choć to niedawno wyszło z plebejuszów i nazwisko jeszcze Niemcem niewypranym śmierdziało—ale czło-

wiek był jakich mało! Pracowity, stateczny, cichy. Tu u mnie w domu kochali go wszyscy jakby krewny był, częsty gość u mnie! Dziś po nim wielka pustka została, a strata nienagrodzona. I jeszcze taka śmierć, ale mówże asesorze.

Zdenowicz blady i wymęczony roztworzył ręce.

— Cóż ja panu prezesowi powiem! ja sam nie wiem nic. Cały dzień męczyliśmy się z ludźmi, żadnej poszlaki, śladu żadnego... nic!

— Ale gdzież u nas co kto podobnego słyszał? Rozbójnicy, napaść na dwór, rabunek!

— I to jeszcze taki osobliwszy, że żywa dusza nie nie słyszała.

— Gdzież szli śludzy?

— Franciszka on sam wyprawił do miasteczka, reszta spała.

Prezes ręce łamał. — Niepojęta rzecz! nieodgadniona, a pieniądze!

— Zdaje się, że z szafy co było zabrano, bo stoi otworem. Wszystkośmy opieczętowali.

Rozmawiali jeszcze z sobą, gdy drzwi się otworzyły i weszła ciocia Wychlińska, krokiem ostrożnym, z twarzą pomieszaną. Prezes spojrział na drzwi.

— A cóż? zapytała nieśmiało, — a co?

— No, nic, asesor odpowiada, że głowy tracą, nie mogąc dojść do najmniejszego śladu.

Wychlińska, osoba błąda, schorzała i bojaźliwa, spojrziała na Zdenowicza, który ręce znowu rozpostarł, okazując niemi, iż nic nie mógł zrobić. Wzrok jej zdawał się go badać z trwogą jakąś i ciekawością.

— Przyszłam tu, rzekła, sądząc że się coś dowiem,

bo i ja i Leokadya nie możemy zasnąć tak nas to — przeraziło.

Prezes głową potrząśł.

— Mogę to już wam i przy pocziwym Zdenowiczu powiedzieć, że wy kobiety co to powinnyście być czulsze od nas mężczyzn, mówił gospodarz, nie okazałyście w tym wypadku wcale takiego wzruszenia, jakiegom się obawiał. Ten pocziwy Daniel (gdyby nie był protestantem, powiedziałbym świeć Panie nad duszą jego) co on się wam nawysługiwał. Myślałem że waćpani i Leokadya pomdlejecie z desperacyi, a no jakoś pokręciwszy głowami i powzdychawszy nspokoiliście się daleko prędzej niż ja. Chwała Bogu, dodał stary, bom — między nami mówiąc — Leokadyą posądział, że ma słabostkę do tego człowieka.

Pani Wychlińska spojrziała dziwnie na prezesa i zmięszała się bardzo.

— Mój bracie, rzekła, prawda to, żeśmy nie zanosiły się od płaczu i nie robiły historyi, ale i Leokadya i ja bolejemy nad losem tego człowieka, nie mniej jak ty. Niech to będzie dowodem, że się tu przyjąć ośmieliła.

I spojrziała na Zdenowicza, który stał nieomal upokorzony, że nie mógł nic powiedzieć nowego.

— Cały dzień niemal prowadził się śledztwo — odezwał się cicho — ale dotąd żadnych rezultatów. — Zostawiłem tam Małejkę, jeśli on się nic nie dopyta i nie domyśli to chyba nikt. Jedyne ślad, że od okna do stawu coś było ciągniętego i na brzegu trzciny połamane, jak gdyby go tam zbójnicy rzucili.. Ogro-

dnik znalazł zakrwawioną chustkę jego; ale w stawie brodziliśmy i nie znaleźli.

— A dla czegożby go w stawie mieli topić? spytał prezes. — Nie rozumiem? Czy go nie dobili? czy... Wszystko to ciemne a ciemne i niezrozumiałe!

Wychińska spuściła oczy, westchnęła, ukłoniła się i powoli wysunęła z pokoju.

Rozmowa asesora z prezesem do późnej przeciągnęła się godziny.

Zdenowicz dopiero od niego się dowiedział, że pan Daniel miał ciotecznego brata, niejakiego Żymińskiego mieszkającego w Warszawie, właściciela kamienicy przy ulicy Senatorskiej, że to był pono jedyny spadkobierca, i że wypadałoby jemu dać znać o losie nieszczęśliwego Tremmera.

— Dla mnie — dodał prezes — największa i niewynagrodzona strata, takiego drugiego sąsiada mieć nie będę... takiego przyjaciela nie znajdę..

Gdyby nie pochodził z mieszczan i nie był świeżo uszlachcony, gdyby w dodatku nie był protestant. szczerze asindziejowi powiadam, córkę bym mu był swatał i spokojniebym umierał, wiedząc, że będzie szczęśliwą.

— A! co mi to pan przes mówi, westchnął Zdenowicz. czy to ja go nie znałem. Był i dla mnie przyjacielskim jak rzadko... a z nim godzin kilka spędzić — prawdziwą było pociechą. Trzebaż, żeby na niego padł los taki tragiczny — w okolicy, w której nikt nigdy nic podobnego nie doświadczył za ludzkiej pamięci. Inna rzec ta historia Niewierkowska, bo tu nikogo ze sług ani z poddanych posądzić nie podobna, tak wszyscy do niego przywiązani byli.

— Bądź pan pewien, dodał prezes. — że to się koniecznie końcem odkryje. Nie ma przykładu, ażeby podobna zbrodnia zataić się mogła. — Należy tylko na najmniejsze okoliczności zwracać uwagę.

— A! już Małejko od tego! ho! ho! — zawołał ase-sor — ten ślady na błocie powymierzał i pozdejmował z nich rysunki... ludzi egzaminował jak na torturach i gdy tam kilka dni posiedzi — niechybnie czegoś dojdzie.

— Daj to Boże — rzekł stary. bo gdyby bezkarnie podobny eksces raz uszedł, wszyscyśmy głów naszych niepewni. Przyznam się panu, że ja już od dzisiejszego dnia strażę koło dworu kazałem podwoić — tu nie ma co żartować...

Zdenowicz zmęczony pożegnał gospodarza idąc na spoczynek, a chcąc nazajutrz do dnia do Orygowiec powrócić.

Nazajutrz też był wcześniej we dworze i zastał Małejkę nad protokółem znowu, pozywającego ludzi po jednym i rozmawiającego z nimi o wszystkim, co się dworu i życia dotyczyło.

— A cóż? spytał — jest co?

— Jeszczem głupszy jak wczoraj. odparł Małejko, aż mi wstyd. Nic nie rozumiem. — Jedyną zdo-byczą, że koło stawu rękawiczkę znaleźli, którą pani Słońska poznała, jakoby do pana Daniela należała... a ta rękawiczka, to właśnie ćwieczek dla mnie. Coś niezrozumiałego... Jeżeli zbrojcy trupa ciągnęli do wody, zkadże się ona tam miała wziąć? po co mu po nocy były rękawiczki, albo im? Napadli go w łóżku — zkad tu rękawiczka... To zwaryować potrzeba! dodał Małejko.

— A któż ci powiada, że on przed kilku dniami jej tam nie zgubił?

— E! inaczej by wyglądała! świeżusienka! rzekł pisarz. Z drugiej strony jeśli rękawiczka nie jego, cóż to za zbójcy byli, którzy chodzą w rękawiczkach i to jeszcze paryzkich!!

Zdenowicz zamilkł... popatrzył na corpus delicti z daleka, pokręcił głową i zakończył swoim zwykłem —

— Niechże djabli biorą .

Małejko był zły, chodził po pokoju rzucając się i szamocząc — rękawiczka mu w głowie siedziała...

— Już chustka zakrwawiona — była zagadką, odezwał się, ale z tą jeszcze jako tako... a z rękawiczką? rady sobie nie umiem dać .. dalipan! I uważa pan asesor... co tu myśleć? w pokoju najmniejszego śladu krwi. po drodze ani kropli, na wiszarach także..? Na chustce ledwie ślad.. Więc go chyba nie zabili.

— Mogli go ndusić i rzucić w wodę?

— A po, cóż mieli się fatygować? przerwał Małejko — po co? — Gdyby żywego nieśli nieopodal od chaty ogrodnika toćby choć jęk posłyszał — umarłego zaś topić — po co? powtarzam — po co?

— Ja nic nie rozumiem — mruknął Zdenowicz.

— Ja także, powtórzył Małejko — sensu bo w tem nie ma... Jakaś robota mętna... zagmatwana... Zbójcy, którzy się lękają, aby ich nie złapano cale postępują inaczej... Gdzież był ów p Daniel, gdy szafę otwierali i zabierali pieniądze...? Jeśli już nie żył, toć mogli ciało zostawić. nie było przecie napisano na niem kto go zabił. Nie ma sensu!!

— Wiesz co Małejko — rzekł prostoduszny asesor — ty bo mnie się zdaje, nadto mądrujesz i świdrujesz rozumem. Czy to wszystko zrozumieć można? To do nas nie należy odgadywać takie zagadki... Gdy nie możemy odkryć zabójców, robota... obojętna...

— A! nie! krzyknął Małejko — jak zrozumieć robotę, to mi łatwiej będzie dojść sprawy, a ja panu asesorowi powiem, że tak jak się rzecz dziś prezentuje — ja nawet nie wiem, czy oni go zabili, czy żywcem porwali...

— Jezu Marya! otóż przewędrował! zaśmiał się Zdenowicz — a on im na co! a gdzieżby go oni skryli! Toć już z wielkiego rozumu oszalał ..

Pisarz się trochę zmieszał i spuścił głowę smutnie, sam bowiem czuł, że i to jego przypuszczenie nie miało najmniejszego prawdopodobieństwa za sobą.

Odwrócił się powoli do asesora, twarzą okazując desperacją i zniechęcenie.

— Już, rzekł cicho — od czasu jak jestem w służbie miałem śledztw nie mało, i nieraz bywały zawiłane, a jakoś sensu się było można domacać w zbrodni, tu zaś. proszę pana — niech mi pan daruje, powiem szczerze. to wygląda, jakby kto niezręcznie odegrał komedya — czy co!

— A waćpan bredzisz! oburzył się pocztowy Zdenowicz. chorujesz na rozum... o to cała bieda. jak ty czego nie rozumiesz. to dla ciebie już sensu nie ma. Ja mówiłem od początku. że nam tu nic nie dokazać. niech sobie zjeżdża sąd, niech ześlą komisya i niech głowy łamią. Nasza rzecz fakt zapisać i dość.

— Toć nie sztuka, rozśmiał się Małejko, a panu by to nie było przyjemne, żeby my pokazali przecie,

że też coś umiemy... i że potrafim dojść wątku, choćby najmocniej zaplątanego... Toż choć popróbujmy.

— A cóż z próby! dodał asesor, tylko wstyd...

Małejko pióro zaczął gryść i po pokoju się przechadzać... popatrzał w papiery, podumał, chrząknął... i kazał zawołać ekonama.

Po chwili wszedł Braun, który czekając na rozkazy, siedział na ławce w ganku, chmurny, smutny i zniechęcony.

— Proszę pana, odezwał się pisarz... daleko ztąd do karczmy?

— Karczmy u nas teraz we wsi nie ma, rzekł Braun, pan starą zwalić kazał a nowej budować się nie śpieszył, pono dla tego, że ludzi tu zastaliśmy rozpojonych. A że się bez szynku nie obejdzie, arendarz, który młyn trzyma i ma zjazd na gościńcu za groblą, obsługiwał i wioskę...

— Cóż to za człowiek arendarz? zapytał Małejko.

— Fajwel dosyć porządny i zamożny człek — rzekł ekonom. Nie mogę nań nic powiedzieć. Już to najlepszy dowód, że pan go cierpiał. On spekuluje na młynach, na mące, na zbożu, a karczma dla niego mniejsza rzecz... Fajwla tu wszyscy znają.

— A no, Fajwla to i ja znam! odezwał się asesor. Fajwel, nosi się nie po żydowsku i nie wygląda na żyda.

— I ja go sobie przypominam! wiem! wiem, dorzucił Małejko. Czyby go nie można wezwać!

— Dla czegoż nie! natychmiast — odparł ekonom...

Zwracał się w progu właśnie, gdy zdziwiony postrzegłszy za sobą stojącego Fajwla, dodał szybko.

— Ale otóż on sam tu.

Ustąpił mu trochę z drogi i Fajwel wszedł zwolna.

Człowiek był lat czterdziestu kilku, zdrów. krzepki. przystojny, czysty typ wschodni wyszlachetniony wiekami. oko bystre, czoło wysokie, twarz spokojna.

Ubrany w surdut czarny, buty długie, kamizelkę i chustkę. z pewną elegancją trzymał kapelusz w ręku. Na głowie tylko maleńka aksamitna krymka zdradzała izraelitę. Wchodząc z powagą się skłonił.

— Słyszę, rzekł, że panowie życzyli sobie widzieć mnie, a ja właśnie tu sam przyszedłem, mając może co powiedzieć...

Obejrzał się. Braun stojąc w progu nie wiedział jakoś, czy zostać, bo był ciekawy, czy iść nim. Małejko mu każe się oddalić... Oczyma spytał pisarza, który mu dał znak, żeby odszedł. Drzwi się zamknęły, Fajwel został przy progu. Westchnął mając rozpocząć mówić i potarł ręką po czole.

— Wielkie nieszczęście — odezwał się cicho. W naszym kraju od wieków o niczem podobnem słyszeć nie było.

Co to jest! kto to może zrozumieć... Ja od wczoraj chodzę jak przybity... Westchnął znowu.. i mówił dalej.

— Ja zwykle wieczorem listy piszę i rachunki... siedzę w izbie od ogrodu... W szynku moja krewna czasem do późna dla chłopów musi zostać, bo się zbierają wieczorem i przy kieliszku i do drugich kurów donudzą. Przy stajni jest Jasiek, który u mnie my-

szuresuje... Otóż jako ze dworu rozeszła się straszna wiadomość, począłem jego pytać, czy on co w nocy nie słyszał? czy nie był kto z obcych ludzi.

Małejko zerwawszy się z krzesła aż podbiegł do Fajwla. — I cóż? i cóż?

— Niechno pan posłucha — ciszej mówił arendarz. Jasiiek powiada, że nie spał od północks. W karczynie był stary Chwedko z zięciem i Kurczynoga... nikogo więcej... ale około północks, powiada coś zaturkotało, jadąc niby od miasteczka... Dojechawszy do karczmy zwolniło jazdę... uoga za nogą minęło karczme... jeszcze Jasiiek myślał, że zajadą i poszedł do wrót, aż zcichło i potem na grobli już znów przędzy turkot dał się słyszeć.

— Cóż to był, wóz! spytał pisarz.

— Otóż to, że nie, odparł Fajwel, bo Chwedko odezwał się do Kurczynogi — Słysz — pany jedut — Chłopi jeszcze siedzieli, gdy w godzinę prawie po tem, jakby ten sam turkot znowu się dał słyszeć na grobli, i zuown mijając karczme powoli jechali, a za karczmą, powiada Jasiiek, jakby djabeł niósł popędziło po trakcie.

— I nikt nie wyrzał? zapytał pisarz.

— Josielowi się nie chciało wychodzić, a przez okno nie było widać nic... Wszelako jako coś więcej wiem, dodał Fajwel. Na grobli stoi młyn, a we mły nie noc i dzień zawóz, zawsze ktoś jest, i Mordko całą noc nie spi. — Poszedłem do mlyna, bo tam musieli albo słyszeć, albo i widzieć, kto jechał i dokąd...

— Prawdziwie z waćpana rozumny człowiek. — przerwał uradowany pisarz — aż miło mieć do czytania z nim... Ale cóż...

— Mordko mówi, że we młynie było ludzi kilku; ci wszyscy spali, a mełło się zboże księżę z Murawca i czekali na kolej. — On nie spał, bo koło zasieka chodził.. Przechodził widział, że szła bryczka trzy czy cztery konie w poręcz, myślał że kto do dworu i dziwił się że tak późno. Ludzi siedzących po nocy nie mógł dopatrzeć. Słyszał jak na grobli długo turkotało, a potem zwolna stanęło.

Jeszcze mu i to zdało się szczególnem, że dłużej na gościńcu już turkotu nie słyhać było. Aż w godzinę może znowu turkoce wolno i jedzie niby nazad ta sama. Mordko już zaglądać nie miał czasu, bo właśnie zboże zasypywali. Powiada, że jechało cicho i noga za nogą aż poza karcznię... a potem nagle zahuczało — i tyle. Człowiek to uważny nie mógł sobie wymiarkować — czy kto do dworu jeździł, czy pode dwór, bo tak jakby niedaleko niego stał...

W czasie tego opowiadania Zdenowicz niezmiernie zaciekawiony fajce dał zagasnąć, pisarz chwycił się do protokołu.

— Tst! tst! zawołał — otóż i promyczek światełka. Żadnego szczegółu więcej panie Fajwel?

— Jeśli panowie życzą sobie, można by Josiela i Mordka sprowadzić, — ale ja z nich ciągnąc dobrze, więcej nie wypośredkować nie mogłem.

— A no! tymczasem już i to dobre! wołał uradowany Małejko namysławiając się. — Jak się Waćpanu zdaje z opowiadania Mordka, — nie wymiarkował on — gdzie mniej więcej ta bryczka zatrzymać się mogła?

— O ile ja miarkuję — rzekł arendarz — nie gdzie-indziej, tylko nie dojeżdżając do dworu, nie daleko od pańskich stajen.

Zdenowicz wstał z krzeselka.

— Czekaście — rzekł idąc do drzwi i wołając — panie Braun! panie Braun!

Ekonom się przystawił.

— Kto w stajni dworskiej nocuje? zapytał.

— Niczypor, pański woźnica.

— Jest on tu?

— Poślemy po niego.

— Bardzo dobrze — potwierdził pisarz — bardzo dobrze — widzi pan po nici do kłębka. Ot tak to ja lubię.

Fajwel został w pokoju wzdychając i chodząc od okna do okna.

— A co to za pan był! — rzekł z cicha — co to za człowiek! Nie ma kto by go nie żałował.

W kwadrans może zjawił się ekonom wiedząc z sobą słusznego, młodego chłopca, który miał niezmieśnie wystraszoną minę, miał czapkę w ręku i wodził oczyma kłaniając się, widocznie przełękły, tak że nie wiedział, co i jak stanąć zrobić, z sobą.

Gdy pisarz się zbliżył do niego, pobladł jeszcze bardziej. Małejko mierzył go oczyma badającemi.

— Słuchaj no, odezwał się, zbierz dobrze pamięć i mów prawdę, bo na to, co powiesz, będziesz musiał przysięgać... Tu nie żarty! Jak na spowiedzi trzeba wyznać wszystko!

Niczypor drżał widocznie i kłaniał się co chwila drapiąc się w głowę.

— Tej nocy, kiedy się nieszczęście stało. spałeś w stajni przy koniach?

— A jużci — wybąknął woźnica.

— Nie słyszałeś nic? — mówił pisarz — przypomnij dobrze. Nieopodał od stajen idzie trakt. Nie jechał kto gościńcem w nocy?

Niczypor mocno się zamyslił i oczy spuścił.

— Mało to kto jeździ traktem, rzekł. a czy to człowiek śpiąc słuchać może? — To się nawykło do turkotu...

— Namysł no się — dodał pisarz...

— Cóż, proszę jaśnie pana, tu nie ma czego się namyslać, co prawda to prawda — coś się słyszało... ale do śledztwa jak zacząć ciągać!!

Przerwał nieco.

— Ja panu powiem wszystko — dodał, kłaniając się, jeno niechaj to nie będzie pisane, żeby mnie potem za to nie ścigali.

— Cóżeś słyszał, mów, naglił Małejko.

— Ja już spałem, mówił Niczypor — było może około północks... słyszę, jedzie ktoś mimo i stanął. Myślę, a to go lichy do dworu niesie, trzeba będzie wstawać i gościnną stajnię otwierać. Słucham, a tu gniady zaczął chrapać. Stanęło... Myślę — pojedzie do dworn... nie? A czegoż licha stoi? Czekam... czekam... Cicho... Gdzie się podziało? Po co by miało na drodze stać? Myślę sobie. Ciekawość mnie ruszyła, poszedłem do masztarni, z której okno wychodzi na gościniec, a że oczy z ciemności na dwór coś zobaczają, patrzę... majaczy się coś na gościńcu niby bryczka. Myślę, pewnie się co popsulo. Stoi a stoi a tak cicho, jakby martwe, aż strach mnie wziął,

przeżegnałem się — patrzę... stoi — nie rusza się.
A no wyraźnie konie i bryczka.

— Wiele koni? spytał pisarz.

— Albo trzy, albo cztery.

— Mówże dalej.

— Myślę, pójdę spać, co mnie do tego, a no ciekawość. Aż mnie w karku zbolało stać i patrzeć... Nie rychło, patrzę, zawraca cichuteńko. pomalutku.

Już po nocy dojrzyć nie było można. czy kto siadł czy nie, a no bryczka zawróciła i stępo na groblę pod młyn. Myślę — zajadą do karczmy, pewnie se poreperować nie mogli. Ot i tyle, bom spać legł, aż dopiero później coś po głowie chodzić zaczęło.

Wszyscy milczeli — pisarz tryumfował.

— Więc tedy rzecz pewna. rzekł głośno, że ta szajka na upatrzzonego tu zkądeś przybyła i że pochwycawszy co chciała, drapnęła nazad. To pewna, panie asesorze, dodał żywo, niech pan tu zostanie. ja muszę po trakcie natychmiast ruszyć śladów pytać aż do miasteczka. póki jeszcze pamięć świeża. Panie Braun. koni!

Niczypor się poruszył. A to ja, proszę jasnie pana, zaprzęgę.

— A no żywo!

— Jenó szleje zarzucę, w dziesięć minut gotowo.

Fajwel stojący pod oknem zdawał się zamyślony głęboko.

— To nie ma wątpliwości, odezwał się. że na ślad trafiliśmy, ale co dalej Pan Bóg da?

Zdenowicz troszkę lepszej myśli dodał.

— Małejko do takich spraw jedyny. Poklepał go po ramieniu. — Słuchajże tylko, wracaj przed wie-

czorem, bo jałbym na noc do Murawca chciał pojechać. Mnie tu jakoś nocować nie rażno.

Pisarz ruszył tylko ramionami, prawie nie słuchał, już się wybierał, krzątał i rozmyślał co dalej pocznie.

— Za powrót nie ręczę, odezwał się, karczem na drodze kilka. a jak tam się złoży trudno przewidzieć.

Zaturkotało żwawo przed gankiem i pisarz już wybiegłszy rzucił się na bryczkę co najspieszniej, a w chwilę nie widać go było. — Zdenowicz nie mający nawet nikogo do mariasza, nudził się bardzo, bo Fajwel wkrótce go pożegnał, Braun był zajęty i jedna pani Słońska przyszła go zabawiać, a z podżyłą i płaczącą niewiastą gorzej mu było niż samemu.

Pocziwiej Słońskiej zdawało się przecież, że rozrywa pana Zdenowicza. Siadła na krześle z pończoszką, na podoręczu mając chustkę, gdyż płacz jej powracał co chwila. Zdenowicz z rozpaczny kładł kałę, bo bez kart w kieszeni dla zapasu nigdy się z domu nie ruszał.

— Co my tu teraz nieszczęśliwi poczniemy bez niego — szemrała cicho Słońska. Ten Żymirski proszę pana, który ma dom w Warszawie, to dobry może człek, ale zwyczajnie mieszczuch, on tu nie zechce siedzieć, albo puści w dzierżawę, albo sprzeda za bezcen! A majątek, proszę pana, złote jabłko tak zagospodarowany. Czego tu teraz niema!

Wszystko to praca nieboszczyka!...

A! co to był za człowiek! Gadali na niego, że nie naszej wiary, ale jak on w drugich wiarę szanował, jak on święta obserwował, jak nigdy najmniej-

szem słowem nie dał poznać, że inaczej wierzy i trzyma niż my. A dla ubogich dobroczynny był. Prawda że w piątek czasem mięso jadł — ale ja go oszukiwałam na różne sposoby chcąc po mału do postu przyzwyczaić. Bywało, dadzą szczupaka z jajecznicą — gramatkę na obiad, nic nie powie, nigdy słowa nie usłyszałam, nigdy wymówki...

Gdyby nie ta nieszczęśliwa wiara, mówiła ciągle Słońska — czyby on się nie ożenił był i jak najlepiej. Gadali, że nie szlachcic. Jako żywo. Sama na oczy widziałam u niego przywilej z pieczęcią jak osełka masła... a że dziad powozy budował.... mój Boże! sam prezes co go tak lubił, córkęby za niego wydał....

— On tam często bywał? spytał Zdeuowicz.

— Jak domowy, jak krewny, mało nie co dzień — bryczką, pieszo. konno, czasem z polowania zaszedł. Prezes go zawsze zatrzymał, nie puszczał, tak, że niekiedy po północy do domu powracał. I — niechaj to nie wychodzi, dalej dodała Słońska ciszej, przyzuam się panu, posądzałam ja go, że się w pannie Leokadyi kochał.

— Z czego to pani wносиłaś? — zapytał Zdenowicz uśmiechając się mimo woli.

— Były znaki! były znaki — szeptała porzuciwszy pończoszkę i podchodząc bliżej do stolika p. Słońska — tajemniczą miną ciągnęła dalej.

— Ile razy wrócił z Murawca, to bywało chodzi po salce, chodzi, wdycha a nie idzie spać, tylko biega z kąta w kąt i stęka. Aż parę razy niespokojna wychodziłam, myśląc żeby czasem rumianku albo mięty nie potrzebował, bo człek był taki delikatny, że ludzi nigdy, choćby zachorował nie chciał budzić. — A no!

nic! nic! tylko mu coś na sercu tak ciężyło. Ja tam nigdy się nie ważyłam o to go zaczepiać — ale — coś było — coś było...

Raz — gdy prezes wyjechał na tydzień z domu, to nasz pan w Murawcu siedział prawie nie wyjeżdżając... A myśli pan, że w sekrecie Wychlińska tu nie przychodziła niby spacerem! Kilka razy!! kilka razy... A zawsze przez ogród, po cichu. i jak się zejda, to cichusieńko szepcą i szepcą.

Tu Słowska zagryzła usta.

— E! co to już dziś mówić.

— Ale, proszę pani, jam bardzo ciekawy.

— Nikomuć to dziś nie zaszkodzi, bo jego już nie ma, a panny to nie krzywdzi, że do niego serce miała! Nic że tam w tem złego nie było. — Przed ojcem musieli się kryć, bo ten o małżeństwie ani słyszeć nie chciał... a ja powiem panu tylko to... niech to pan przy sobie zatrzyma (zniżyła głos) — pisywali do siebie, tego jestem pewna. — Pani Wychlińska to ułatwiała... Szły książki, niby książki, a no było tam coś w tych książkach...

Zdenowicz aż kabałę porzucił...

— Ja panu tyle tylko powiem, że mnie się zdaje, oni musieli rachować na to, że jużcić prezes nie wiekuisty. a oni młodzi. Kto tam wie, dosyć że się kochali... Miał nawet jej miniaturę, razem go zeszła nad nią, ale tak schował piorunem, jakby się przeląkł, żebym go nie wydała; powiedział mi, że to portret matki! Gdzie tam! podobniusienska prezesówna!

Prezes tu u nas bywał — kochał go — a no — uparty...

— Cóż pani na to powiesz — przerwał Zdenowicz wstając — że wczoraj gdym przybył do Murawca — stary mi powiadał, iż myślał, po sobie miarkując, że tam kobiety się nie utulą, dowiedziawszy o tutejszej awanturze, a słyszę. — Wychlińska i panna Leokadya, trochę postępkawszy, na podziw się znowu uspokoiły.

— E! to już chyba nie może być — boćby serca nie miały! — odezwała się pani Słońska. — Prezesowi się przywidziało, one pewnie z płaczu się zachodzą, a łez nie śmieją pokazać.

Ja myślę, że panna Leokadya albo całkiem za mąż nie pójdzie, lub chyba bardzo nie rychło.

Zdenowicz westchnął..

— Szkoda człowieka! rzekł — a jeszcze taka śmierć! taka śmierć! Wszak to ciała nawet odszukać nie można...

— A! tak! żeby choć na poświęconej ziemi je po-grześć, a to ludzie powiedzą, że za to go Bóg skarał, iż protestantem był!! On pewnie w stawie leży — mówiła dalej jejmość — ale z kamieniem u szyi... jak-że go wyszukać, chyba by staw spuścić?

— A masz pani słuszność! jakby olśniony tą prze-sliczną myślą, podchwycił Zdenowicz — wszak staw można spuścić — i wszystko się odkryje...

Na tem skończyli rozmowę, bo Zdenowicz rywalizując ze swym pisarzem, pobiegł zaraz do Brauna, aby stósowne przedsięwziąć środki do wypuszczenia wody. Dla niego nie ulegało wątpliwości, iż zbójcy, których ślady wiodły w trzciny, tam go gdzieś ntopić musieli.

Pisarz z wycieczki swej powrócił bardzo późno.
— zmęczony i niezadowolniony.

— Cóż tam waćpan wybadał? zapytał asesor.

— Wystaw sobie pan — odparł czapkę rzucając o stół Małejko — od karczmy do karczmy aż pod same miasteczko śledziłem tego diabła... schrypiłem na indagacyi... Wszędzie bryczkę słyszeli i leciała słyszę tak z powrotem, jakby konie niosły... ale nigdzie a nigdzie się nie zatrzymywała. Żeby kto z tych trutniów, co po trakcie siedzą, choć wyrżał... ale nikt...

W Wygódce tylko stał we wrotach Karaim, gdy to licho się niosło i widział bryczkę, powiada, że było w niej koni trzy, w poręcz... na koźle jeden a na siedzeniu drugi człowiek. okutany... Konie ciemnej maści... bryczka nejtyczanka długa... Woźnica walił po szkapach i no mu się przesunęli przed oczyma i znikli...

Dobiłem się aż do miasteczka... ale tu jak w wodę wpadło... Czy zwolnili biegu. czy, że tam więcej jeżdżą a mniej na to zważają, zaraz w pierwszych domach nikt już nic nie umiał nic powiedzieć...

Na tem opowiadanie swe dokończywszy Małejko padł na krzesło, prosząc, żeby mu się czem posilić dać — a asesor, na którego konie czekały, choć godzina była późna, znowu wołał do Murawca jechać, dokąd go prezes zapraszał.

W Murawcu nie tylko gospodarza zastał, czuwającego w oczekiwaniu na wiadomości o śledztwie, ale i dom cały z nim razem. Zaprowadzono go do salonu.

Na stoliku paliła się lampa... Prezes przechrzątał się niespokojny... Na kanapie siedziała blada panna Leokadya, w fotelu obok pani Wychlińska. Zdenowicz z większą teraz ciekawością spojrział na biedną prezesównę i zdziwił się nie pomału, iż miała tak przed ojcem ukryć boleść, jakiej pewnie doznawać musiała, znalazł ją bowiem na podziw spokojną, acz smutną. Ciocia Wychlińska daleko wyglądała więcej wzruszoną i niespokojną. Gdy panna Leokadya pozostała jakby przybita do kanapy, Wychlińska wstała i podeszła do Zdenowicza razem z prezesem dowiedzieć się o śledztwie.

— Cóż tam nowego? czy jest choć najmniejszy promyk światła? począł prezes.

— Nie możemy się pochwalić, ażebyśmy stanowczego się coś dowiedzieli—wszakże—dodał Zdenowicz—dzień nie został stracony.

Na te wyrazy ciocia Wychlińska jakby przeleżała, uderzyła w dłoń.

— Cóż tedy? co?

— Fajwel arendarz. wskazał nam pierwszy, iż w nocy bryczka jakaś podjeżdżała pode dwór, zatrzymywała się tam i później nazad ku miasteczku w czwał wróciła. Nie ma wątpliwości, że na niej przybyli rabusie... Małejko jeździł gościńcem, śledząc — bryczkę pędzącą słyszano wszędzie, ale w miasteczku znikła ..

Wychlińska zwróciła się do Leokadyi, ta ze spuszczoną na piersi głową, jakby nie słysząc i nie słuchając... siedziała nieruchoma.

— I więcej niceście panowie nie doszli — nic? pytała Wychlińska...

— Niestety! dotąd, nic — rzekł Zdenowicz, ale jutro śledztwo dalej, jeśli się uda, prowadzić będziemy. Furman nieboszczyka...

Gdy wymówił ten wyraz dostrzegł Zdenowicz, że panna Leokadya cała wzdrygnęła się — żał mu się aż jej zrobiło...

— Furman? cóż furman? podchwycił prezes...

— Widział tę bryczkę ze stajni, stojącą niedaleko ode dworu... dokończył Zdenowicz...

— I cóż dalej?

— I zawracając się po długim tem staniu nazad ku miasteczku... Widzieli ją i słyszeli ludzie u młyna, tak, tak, że wątpić nie można, iż zbójcy ci trzema końmi, nejtyczanką podsunęli się pode dwór... a po krótkiej stosunkowo chwili nazad uciekli...

Prezes się zamyslił.

— Mówiliście mi wczoraj, rzekł, że ślady od domu znaczne były do stawu... że prawdopodobnie tam się skończyła ta tragiczna zbrodnia... Powiedzże mi, kochany asesorze, czy w pół godziny czasu mogli ci ludzie napasać, zrabować, ciało zatopić... i w pokoju sypialnym tak wszystko, jak mi mówiłeś poprzetrząsać?

Zdenowicz zamilkł.

— Ale cóż w tem niepodobnego. przerwała Wychlińska — nie rozumiem dla czego brat na to zwracasz uwagę!

— Bo mi się to zdaje niepodobieństwem. chłodno ciągnął prezes... Musieli okno odrywać...

W tej chwili stary zamilkł i wnet począł zastanowiwszy się...

— Żeby też człowiek jak on — czujnie śpiający, nie

obudził się, gdy okiennicę wyrywali, gdy okno otwierali... nie chwycił za broń... zawsze nabitą, nie krzyknął?

— Mnie to na myśl nie przyszło. przerwał Zdenowicz, lecz w istocie nowa zagadka się następuje? którądyż i jak weszli, mógłże nie słyszeć... Nad łóżkiem były pistolety. w kącie dubeltówka.

Wszyscy zamilkli.

— Tak! to nowa zagadka! mówił asesor, myśmy o tem nie pomysleli. Prezes masz słuszość, którądyż weszli?

— Mogli wejść przez pokoje, dodała pani Wychlińska. a wyniść tylko oknem.

— Ale śladu włomu, ani gwałtownego wyparcia drzwi nie ma, rzekł asesor, a pani Słowska przysięga, że sama na noc wszystkie drzwi pozamykała.

Leokadya spojrzała bystro na Zdenowicza, jakby mu wyrzucała, że ją męczył tą rozmową, podniosła się zwolna z kanapy i wysunęła z pokojn. Ciotka pozostała.

— Ludzie mi mówili, kończył śmieiej po nastąpieniu prezesównej Zdenowicz, że sypiał czujno jak nikt, najmniejszy szelest go budził. Co więcej — a nadtem jużśmy też mocno z Małejką medytowali — na ganku spał ulubiony wyżeł nieboszczyka Kastor, który zwykł, żeby się co tylko w domu ruszyło, budzić szczekaniem okrutnem wszystkich, ten ani się odezwał.

— Toby tylko dowodziło, rzekł prezes, że—uchowaj Boże od tego—chyba swoi to zrobili, ale kto?

— Nie może być, zaprzeczył Zdenowicz.

— Wyżeł nic nie dowodzi, przerwała pani Wychlińska, stary Kastor mógł też raz w życiu zasnąć.

— To się bardzo rzadko komu zdarza, dodał Boro-
miński. A no zaprawdę. w tem wszystkim tyle jest
niezrozumiałego, dziwaczного. że jak długo żyję, ni-
gdy o niczem podobnem nie słyszał.

— I to mnie zmusi pono, westchnął Zdenowicz.
zrzuciwszy pychę z serca. zdać roport a prosić sądu.
ażeby rozumniejszą komisją zesłali. Małejko do ta-
kich robót chwat, a i on nie może zgryść twardego
orzecha. Wiemy coś i nie wiemy nic, kiedyśmy nawet
ciała dotąd odszukać nie umieli. Jutro wszakże staw
spuścić każe.

— Dobrze żeś mi o tem powiedział, rzekł prezes,
muszę się i ja ze służą pilnować, a tobyście mnie za-
leli.

Siedli tedy do wieczerzy, z którą na Zdenowicza
czekano, ale panna Leokadya nie wyszła. Ciocia Wy-
chlińska w istocie więcej podrażnionej okazywała cie-
kawości niż żalu i smntku. Po kolacyi prezesa odwo-
łał ekonom. który miał coś pilnego, asesor został
sam na sam z ciocią.

Asesorowi przyszła wcale nie trafna myśl popi-
sania się z tą wszechwiedzą stosunków, którą z papla-
niny pani Słońskiej zaczerpnął. Zbliżył się do pani
Wychlińskiej i po cichutku, poufnie wybąknął.

— Jak to panna prezesówna nad tem cierpieć musi!

Ciotka spojrzała przerażona i aż się cofnęła.

— Dla czego szczególnie prezesówna ma cierpieć
na tem. panie asesorze—zawołała chwytając za rękę...

Zdenowicz się zmieszał.

— El bo to, widzi pani — rzekł bełkocąc—no—są-
siad. bywał często, a takie stosunki — i tego—i ludzie

zwyczajnie jak ludzie, gadali, że dosyć był miłym prezesównie, a to pewna, że on w niej się kochał...

— Któż to panu tę bajkę splótł? z niezwykłą żywością poczęła Wychlińska. Ale — zmiłuj że się pan. Czyż temu wierzysz? czyż...

— Ale to, pani dobrodziejko — do sprawy nie należy — począł Zdenowicz, to się tak poufnie mówi. Wszak ci w tem grzechu nie ma.

— Zapewne, gorąco podchwyciła Wychlińska—ale po cóż to mówić. Zawsze to dla panny rzecz nie miła, gdy takie rzeczy głoszą. Zmiłujcie się, nie powtarzajcie tego. Prezes jest drażliwy.

— O, niech pani będzie spokojną! — rzekł Zdenowicz.

— Ja panu powiem poufnie — kończyła ciocia — że to sobie bajka tych ludzi, którzy zwykli sąsiadów swatać i żenić... i domyslać czegoś tam, gdzie nic nie ma. Pan Daniel był człowiek bardzo miły, bywał u nas często, ale się trzymał z daleka, wiedział on dobrze, że mój brat by mu córki nie dał. A już ludzie wzięli na języki!

Westchnęła pani Wychlińska jakby mocno zafrasowana.

— Gdzieś to pan słyszał?

— Po świecie—pani dobrodziejko—po świecie--odparł Zdenowicz—bąkano, przebąkiwano.

— Nie było nic — mówiła ciągle mocno skłopotana ciocia—któżby o tem lepiej wiedział odemnie? A gdyby coś było, przed panem bym się nie taila, bo wiem, żeś przyjaciel domu. Ale, nie było nic — najmniejszej rzeczy. Książki mnie pożyczał, do prezesa przyjeżdżał

na warcaby, na gawędkę. Sam go mój brat i odwiedzał i zapraszał.

Zdenowicz milczał, wszakże ta żarliwa obrona utwierdziła go tylko w przekonaniu, że coś być musiało. co teraz utaić chciano.

— Jeszcześmy — rzekł po chwili — nie mieli czasu przepatrzyć papierów—tam się może czego dowiemy... Szczególni to jacyś byli rabusie, bo zdaje się z tego, co w kominie leżało, że mieli czas papierów część spalić? A po co je spalili—tego znowu nie rozumiem.

— A papiery w kominie mogły być spalone dawniej—przerwała ciocia.

— Zdaje się, że świeżo—kończył Zdenowicz i westchnąwszy dodał. — Ja, pani dobrodziejko, nie byłem stworzony do śledztw i rozplątywania takiej gwałtowniny—czuję, że tu nie jestem na swoim miejscu — ale choćbym stokroć rozumniejszym był, ponobym niczego nie doszedł, to tylko powiem, co widzę, że napaść cała osnuta była jakoś bardzo rozumnie, bardzo chytrze i że to prości rabusie nie byli.

Czas odkryje.

Pani Wychlińska westchnęła.

— Dla tego też, rzekła, gdybyś mnie pan posłuchał, co tam bardzo się domacywać, śledzić, mądrować i darmo głowę łamać... Atł! zdajcie to na przyszłość i skończcie co rychlej.

— Umył bym pewnie ręce, gdyby mi było wolno — począł Zdenowicz, ale służba niewola. — Przyjdą jeszcze drudzy i trzeci.. nie tak się to rychło skończy! Ja zdam z rąk, a śledztwo pójdzie swoim porządkiem.

Na te słowa nadszedł prezes żywo spiesząc do Zdenowicza.

— Wiesz asindziej—co mi znowu ekonom powiada?

— Cóż takiego?

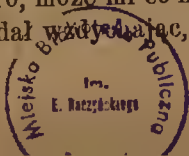
— Że na gościńcu od Orygowiec do miasteczka, tamtej nocy znalazł nasz chłop raniusienko jadąc związaną paczkę bielizny i odzienia, które poznali tu ludzie jako do p. Daniela należące. Na bieliźnie są jego znaki.

— To tylko potwierdza — rzekł Zdenowicz, iż rabusie tamtędy uciekali i wskazuje, gdzie ich szukać należy.

Asesor natychmiast prosił Prezesa, aby rzeczy te przyniesiono dla złożenia ich za dowód w sprawie.— Rozprawiano potem długo jeszcze, a zdania były różne, gospodarz utrzymywał, iż to była robota żydków z miasteczka, zaprawionych na kradzieżach koni, które uprowadzano do Galicyi, — ekonom twierdził, że może warszawscy przemysłowcy, którzy wiedzieli o pieniądzach, jakie z sobą przywiózł pan Daniel, tu za nim gonili, bo na Wołyniu ludzi tak prze-mądrych do złego słyszeć nie było. — Poszli oba spać nie rychło, a Zdenowicz pożegnał gospodarza, chcąc nazajutrz podać raport i odpowiedzialność całą z siebie zdać na sąd — bo był i zmęczony i zniechęcony i znnudzony, nie mając z kim nawet w wiseczka się roz-zerwać.

— Ale nie spiesz no się — odpowiedział prezes, jeszcze jutro musicie staw spuszczać... do nocy wam to zajmie. Nim się potem wybierzesz, nim popiszecie co potrzeba, wieczór nadejdzie, a n mnie nocleg spokojny...

Przyjedź jutro, może mi co nowego przywieziesz. Nie uwierzysz, dodał wzdychając, jak mnie ta sprawa



żywo obchodzi; Daniela mam na oczach ciągle. jakbym na niego patrzył. Kochałem go póki był, a teraz zdaje mi się, że gdy go nie stało, jeszcze więcej dlań czuję przywiązania...

Nazajutrz Zdenowicz raniuteńko pospieszył do Orygowiec, gdzie już zarządzono wszystko, aby nazajutrz staw spuścić. Otwarto wszystkie zastawki i śluzy, przepiekopywano rowczaki na niższe sianożęci, aby woda prędzej opadła—a choć to wszystko nie małe zrządziło w gospodarstwie szkody, nie było co się namyslać, gdy szło o odkrycie prawdy tak dziwnie jakoś zaćmionej.

Około południa już dno stawu odwiecznym mułem pokryte pokazywać się zaczęło, na brzegach łapano ryby, ludzie brodzili między trzcinami i wiszary... i mimo najpilniejszych poszukiwań. do których z gorliwości Małejko się przyłączył sam, rozebrawszy tyle, o ile jego rejestratorstwo kolegiálne dozwalało — śladu nieboszczyka nie znaleziono najmniejszego.

Zdenowicz zrezygnowany był zupełnie acz upokorzony, pisarz wściekał się nie mogąc niczego więcej dojść, a nawet domysleć się, co z ciałem zamordowanego się stało.

Nie pozostawało więc nic nad wystosowanie raportu do sądu, który resztę musiał sam już dosledzać.

— No! zawołał rzucając pióro na stół po dokończeniu urzędowego pisma Małejko — no — jeżeli oni tu teraz czego dojdą i mądrzejsi będą odemnie to — dam sobie urznąć głowę...

Zdenowicz fajkę palił milczący.

Wszystko zdawało się wyczerpane, skończone, zamknięte. Ciemności zostawały takie, jakie znaleźli nim

z fiat lux, urząd pierwszej instancji na grunt zjechał. — Pani Słońska jaki taki przygotowała obiadek, podano i butelczynę wina; asesor z pisarzem zasiedli smutni do posiłku. Już kurczęta stanowiące piecyste ogryzali gdy gwałtownie do pokoju wpadł jakby mocno wystraszony, blady i niespokojny ekonom Braun. Po twarzy jego można było poznać, iż coś nadzwyczajnego zająć musiało. Małejko, który się gryzł niepomrotnie niemożnością odkrycia czegoś — zerwał się rzucając kurczę i sałatę.

Braun nim począł mówić. czuprynę sobie już targał.

— Otóż to z temi ludźmi! otóż dajże tu sobie z tą ciemnotą radę! zawołał — każdy z nich tak się obawia śledztwa i sądu... i sam nie wie czego. że gotów najważniejszą rzecz zamilczeć, byle tylko nie być pociągany do zeznań. Trzeba było wypadku, że mi Chwedko przyznał się, iż od Sydora słyszał o czemś... a inaczej to by może najważniejszego świadka w śledztwie nie było...

Pisarz także za głowę się porwał...

— Mówże pan... co to jest...

— A—jakże tu mówić, kiedy człowiek głowę traci! wołał Braun... Wziąłem Sydora pod wartę... niech sam gada. Wszak tej nocy gdy się to stało... położył się spać w krzakach oto z drugiej strony domu... Już to... nie wypada mówić o tem — dodał, ale posądzam go, że musiała być schadzka... bo się stara o Franusię z gardéroby... a no, dosyć że w krzakach spał nieopodał i bodaj wszystko widział i nic nie gadał!

Ekonom aż ręce załamał. Małejko już o pieczy-

stem nie myśląc, począł obrus ściągać i papiery dobywając do protokołu się gotował, krzycząc —

— Dawaj go tu! dawaj go tu.

Zdenowicz wypił kieliszek wina dla nabrania odwagi i huknął coś niezrozumiałego. czując że z obowiązku powinien był się zamanifestować.

Tymczasem przez próg wprowadzono pod strażą delinkwenta Sydora, bladego jak ściana. Szedł jak na ścięcie. Żal na niego było patrzeć. Ogromny, bardzo przystojny chłop, w koszuli tylko pod szyję związanej czerwoną wstążką, spodniach i bótach—ze spuszczoną głową sunął się niezgrabnie. nie mogąc we drzwi szerokimi ramiony pomieścić... ociągając się i niemal płacząc. Oczów podnieść nie śmiał na najjaśniejszy sąd.

Zdenowicz wystąpił chcąc być srogim i okrutnym, co mu się zupełnie nie powiodło. Wziął się w boki.

— A widzisz ty,—jakiś—zawołał—jak to można—tego, mości dzieju, żeby prawdy nie chcieć wyznać przed urzędnikiem. Cóż to, ty — tego, jakiś. myślisz sobie—wilcy my jesteśmy czy co, że cię zjemy. ty jakiś... o! widział to kto... jakiś! tego! — A to po ludzku! a to po chrześcijańsku.

Małejko tylko co się nie rozśmiał. ale mu było pilno.

— Mój kochany—dodał—mogłeś sobie tem gorszej biedy narobić, bo kto widzi a nie gada, gdy się co złego dzieje, jakby spółnikiem był.

Sydor zdaje się, że obu nie wiele zrozumiał.

— Mówże prawdę, zawołał pisarz, mów prawdę, nie taj nic. przypomnij sobie dobrze.

To mówiąc siadł przy stole, Zdenowicz zajął też miejsce z powagą przyzwoitą — milczenie nastąpiło gólne.

— Gdzie byłeś tej nocy, gdy się we dworze to nieszczęście stało?

Sydor długo milczał — powoli dobył głosu niesmiałego.

— Proszę najjaśniejszego sądu — to było tak... W budzie na ogrodzie strasznie gorąco... poszedłem se w krzaki podłe dworu.

— A no? z wieczora deszcz padał? zagadnął Małejko.

— Ono to to prawda, a wszystko taki bardzo było parno, i ja sobie tam starą matę z inspektów przyniosłem. Tylko co mi się zdrzemnęło... słyszę jakby kto chodził po ogrodzie. Myślę co Paweł ogląda bo mu ogórki po nocy kradli. A no... po czasie aż stuk okiennicą o ścianę i okno brzęknęło. Tak ja wstałem i oparłem się na łokciu — słucham... nic... Myślę co to może być, więc z maty się zwłóknęszy a świętę zarzuciwszy na plecy, wyszedłem trochu z krzaków. Noc była ciemna, proszę panów, a naprzeciwko światła można było co rozeznąć, gdy się oczy obyły. Wychyliłem się — patrzę. Jakiś człowiek jeden i drugi kręci się koło dworu... łyknięło mnie... co takiego a potem strach... myślę sobie, krzyknę i nie ma głosu, kto to wie, co może być. A nu—duchy nie ludzie. Takem się, proszę najjaśniejszego sądu trząsł, że zęby dzwoniły. — Kręciło się dwóch ludzi podłe okna... cicho... cicho... potem jeden się wychylił do pokoju jegomościwego głęboko i coś ztamtąd we dwóch zaczęli ciągnąć, ciągnąć aż wyciągnęli i we dwóch do ogrodu wzięli wlec.

— Mnie jeszcze gorszy strach wziął, aż przycup-
nałem.

— A czemużes nie narobił wrzawy? krzyknął Zde-
nowicz.

— Toby i mnie byli zabili! odparł Sydor, płacząc —
czy ja zresztą wiedział, co to znaczy? Jak po nocy to
jabym był przysiągł, że samego pana widziałem
z Franciszkiem... Tak się majaczyło... Myślę, może
gdzie w drogę jadą.

— A gdzież rozum? po cóżby mieli oknem wyłazić,
mając drzwi, i kryć się z tem? rozśmiał się Małejko...

— Albo ja co tam mogę wiedzieć — proszę najja-
śniejszego sądu... Niechże się jasny pan nie gniewa...
mówił Sydor... co ja biedny człek takie rzeczy mam
rozumieć...

Asesor i pisarz ramionami ruszyli oba... Braun
przytomny aż stęknął.

— Dajże tu z nimi rady! zawołał — otóż to taki lud!
ciemny... i...

— Mówże no, mów — przerwał Małejko... Co dalej.

— No nic... tylko jakem zobaczył, że coś ciągną,
takem przypadł w krzak i ducha w sobie zaparłem...
i czekałem. Szeleściło potem przez ogród... coraz da-
lej, dalej... aż do furtki... Zapiszczała furтка... cicho..
We mnie trochę odwaga wstąpiła... Noc była wielka,
a cisza... tak, że z daleka młyn nawet słychać było...
aż dobrze poczekawszy na grobli, zaturkotał jakby
wóz powoli... i tyle... Jam się nie rychło spać poło-
żył... i dopiero rano dowiedziałem się, co się stało.
A cóż ja miałem się wyrywać, gadać, kiedy nie było
o czem. Mało co ja wiem... Myślałem jak zacząć cią-

gać, ciągać, a przysięgać, a do miasteczka włożyć, a dobywać z człowieka... kiedy ja i gadać nie umiem...

Małejko notował wszystko... Uderzyło go jedno, że Sydor powiadał, iż mu się zdało, jakby w tych dwóch ludziach widział — Franciszka i samego pana. Oczywiście o panu mowy być nie mogło, była to halucynacya nieszczęśliwego Sydora, ale Franciszek? Franciszek właśnie tego dnia nie nocował w domu... Małejko gryzł pióro.

— Cóż to ci się zdawało, zapytał, że niby Franciszek był pod oknem...

— A! chowaj Boże—podchwycił strwożony Sydor alboż ja po nocy mogłem rozeznąć! a no ze wzrostu tylko... tak w głowie mi się pomięszało... Alboż mogłem przypuścić, żeby u nas byli złodzieje?

— Cóż ci się zdawało?

— Co ja mogłem wiedzieć? Może pan po nocy s o bie dokąd jedzie...

Rozśmiano się z prostoduszności parobka.

Małejko ciągle pióro gryzł... przeszedł się po izbie.

— Ty, mój kochany, rzekł—musisz z nami jechać, twoje zeznanie nadto ważne... Niech pan ekonom każe mu dać furmankę i odstawi do miasteczka... A—spojrzał na Zdenowicza—a możeby jeszcze przesłuchać pana Franciszka?...

Braun, który we drzwiach stał, wypchnąwszy Sydora, sam powrócił zaraz — i odezwał się cicho...

— Cóż pan chce od p. Franciszka Wierzejskiego! Ten głupi sam nie wie, co plecie.—To człowiek bardzo stateczny, a oprócz tego niedawno, że nocował

w miasteczku. bo i człowiek z nim był, co go woził.

— No tak—począł Małejko przebierając w papierach—ale tu o co innego idzie.

— A! chyba? dodał ekonom, bo co ten bredzi — nie warto tylko śmiechu...

Po krótkiej chwili wszedł żądany pan Franciszek Wierzejski, chmurny jak pierwszym razem i niby z łaski tylko stawiający się na żądanie.

Spojrzał ponuro na Zdenowicza i na pisarza. zagryzł usta, poprawił wysoko podpiętą chustkę na szyi, i czekał.—Żołnierska jego postawa i twarz imponowała pisarzowi.

— Proszę waćpana, rzekł łagodnie, do śledztwa to nam potrzebne... Znałeś waćpan pana Daniela dobrze?

— Spodziewam się! tyle lat u niego służąc — pozwoli mówił Wierzejski — nie chwając się pan we mnie miał zaufanie. gdy wyjeżdżał to mi i klucze i pieniądze powierzał. Kiedyśmy kupowali Orygowce dwa razy jeździłem do Warszawy i po sto tysięcy z góry przywoziłem sam jeden. Ludzie o tem wiedzą. Znałem go jak nikt lepiej.

— Miał kogo z rodziny oprócz pana Żymińskiego?

— Nie wiem, — jednego p. Żymińskiego znam. o żadnej rodzinie więcej nie słyszałem... Do niego by nawet potrzeba było dać znać... boć przecie ktoś majątek powinien wziąć i nie dać, żeby się tu wkradł nieład. Szkody i tak będzie dosyć. Ot — i dziś tu staw spuszczony.

Ruszył ramionami.

— Już ciż trzeba było się przekonać,

— E! machnął ręką Franciszek, ja od razu wiedziałem, że tam nic się nie znajdzie.

— A to jakim sposobem? podchwycił Małejko.

— Bo gdzieby oni mieli czas go tam topić? o! o!

— A cóż się z nim stało?

— Kto to może wiedzieć? Może gdzie go w dół rzucili! Tu dołów od piasku, a rowów nie mało... toć było łatwiej... A stawu szkoda... ryb przepadnie dużo— żeby choć zarybek zostawili... gdzie tam! w tym chaosie do płotek wszystko wyniosą.

Franciszek zażył tabaki i chwilę stał milczący.

— Panu Żymińskiemu, mówił dalej, trzeba by koniecznie dać znać i to rychło. Ja tu i tak nie mam co robić, mógłbym do Warszawy pojechać do niego, żeby choć wiedział, co się święci.

Słyszając to Małejko, wielce podejrzliwy człowiek, mrugnął na Zdenowicza. żeby nie pozwalał, uderzyło go to, że tak pilno było wyrwać się ztąd panu Franciszkowi.

— Waćpan się oddalać nie mozesz — odezwał się sam Zdenowicz — jesteś do śledztwa potrzebny. Nikt nad waćpana lepiej, jak sam powiadasz, nie wiedział, co pan Daniel miał. gdzie co było, musisz dopomódz, gdy przyjdzie do rewizyi pokoju i szafy.

Franciszek zmilczał.

— Jak się waćpanu zdaje—pieniędzy było dużo?— spytał Małejko.

Stary pomyślał.

— Jakie z dziesięć tysięcy rubli przywiózł z Warszawy, ze trzy to u nas zawsze bywało od zlej godziny... a coś tam może weszło z małych przedaży i propinacyi.

— A pieniądze były jakie?

Franciszek niezmiészany odpowiadał powoli.

— Jakie miały być? papierowe? W złocie mało co chyba.

A po chwili dodał:

— Niech panowie Żymińskiemu dadzą znać—szkoda majątku. Pan Braun zacny człek; ale i jemu to zacięży samemu na kark brać, a pora gorąca... żniwa... sprzedaże... Niechby kto przyjechał, żeby nie poszło na administracyą... bo to już ostatnia rzecz...

Splunął kręcąc głową.

Asesor i Małejko zmiczeli.

Pan Franciszek skłonił się i wyszedł.

Taką była ta sprawa zagadkowa i niezrozumiała, której zarys daliśmy w poprzedzających rozdziałach i nie można się wcale dziwić, że całe sąsiedztwo było nią rozgorączkowane, że na jednych padł popłoch, drudzy niestworzone rzeczy przypuszczali.

Po panu Zdenowiczu i Małejce zjechał sąd: kapitan Zagromowski. podsędek Witoszyński, a ten sam Małejko do pomocy. Siedzieli dwa tygodnie w Orygowcach. jedli, pili, tak, że nieszczęśliwa pani Słowska kurczał i drobiu nastarczyć nie mogła, a nie odkryło się nic a nic.

W przetrzęsionym bacznie pokoju pana Daniela pieniędzy nie było ani grosza, oprócz trochę miedziaków na kominie, a co dziwniej, papierów dużo brakło takich, które rabusiom na nic by się były nie przydały. Innych, spalonych ślad pozostał w kominku. — Codzienne suknie gospodarza walały się na krześle przy drzwiach, a innych, które w tym pokoju się znajdowały — brakło. Przypuszczano bowiem, że tylko ztąd pochwycone być mogły.

Tajemnicza ta napaść i tem dziwną była, że ciała nigdzie nie znaleziono, przeszukawszy po rowach, dołach, na około domu i zabudowań. Gdzie i dla czego tak ciało skryto — nikt nie pojmował.

Pani Słońska wzywana do spisu rzeczy, jakie się w sypialni znajdowały, chociaż głośno tego nie mówiła, dziwiła się w duchu, iż ową miniaturę matki, nie matki, a jak ona utrzymywała panny Leokadyi. która w biurku zawsze się chowała — porwano... bo znikła. Brakło i pary pistoletów ze ściany...

Rabusie jakoś bardzo tu spokojnie sobie gospodarowali...

Małejko świdrując rozumem, jak o nim mówił Zdenowicz — wpadł na domysł nierozsądny, że stary ponury ów Franciszek mógł nie być obcym wypadkowi. namówiwszy się z jakimi awanturnikami. On jeden wiedział o pieniądzach, o zwyczajach, łatwo mu było zadać coś usypiającego panu Danielowi, najść go bezprzytomnego, bezbronnego udusić i ciało gdzieś, przygotowawszy zawczasu dół, rzucić, aby niepotrzebować dobijać, a być pewnym, że nie ożyje... Cała ta teoria p. Małejko, mająca pewne prawdopodobień-

stwo, misternie ukuta rozbijała się o to, że wezwany na świadectwo Mordko Judelowicz, zeznał pod przysięgą, iż z wieczora w wigilią tego dnia przybył Franciszek Wierzejski po sprawunki do miasteczka, że najał sobie izdebkę osobną na tyłach, w której się o godzinie ósmej zamknął i położył spać, a nie wyszedł z niej nazajutrz, aż o szóstej rano, żeby kazać konie do powrotu zaprzagać. To alibi było tak przekonywające, iż posądzać Franciszka, dłużej ani było podobna. Małejko jednak cicho Zdenowiczowi powiedział..

— Mój panie, wielkim łajdakom różne myśli przychodzą! Ja panu daję słowo, że pojedę do miasteczka, stanę tak samo u Mordka Judelowicza na noc, w tej samej izbie, położę się spać o ósmej, o piątej rano wstanę i wyjdę do koni.. a mimo to w nocy oknem wylazłszy, pojedę do Orygowiec i wrócę — i nikt, żywa dusza wiedzieć o tem nie będzie. Zdenowicz tą przenikliwością szatańską Małejki tak był uderzony, iż ogłupiał, ale rozgniewał się na niego.

— Dałbyś bo jako pokój temu świdrowaniu, zawołał — gdzie znowu? wszyscy świadczą, że najuczciwszy człowiek, miał zaufanie u nieboszczyka, a waćpanu taki ćwiek w głowie siadł! Tfu! aż mi wstyd! Dałbyś pokój i milczał!

W istocie tego swojego przypuszczenia, które sam wysoko cenił, jako dowód własnej jowialności, Małejko nikomu więcej nie wyjawiał.. Było cokolwiek za śmiałe.

Uderzało jednak i jego i wszystkich to, że pan Franciszek Wierzejski, który naprzód chciał po pana Żymińskiego do Warszawy jechać, potem ciągle doku-

czał asesorowi, sądowi, jeździł do Murawca prosić o porękę i wstawienie się Boromińskiego, gwałtem wypraszał się, aby mu wolno było powrócić do krewnych. Sąd oczywiście nie zgodził się na to, właśnie z powodu nadzwyczajnego nalegania, obudzającego podejrzenie. Oddano go nawet, na żądanie Małejki, pod sekretny nadzór policyjny...

Uważano, iż ze spokojnego stał się zgryźliwy, niespokojny, zły i po całych nocach nie sypiał... Ase-sor, który tu często dojeżdżał i za każdym razem bywał w Murawcu — sam począł jakieś mieć podejrzenia, ale pani Wychlińska śmiała się z niego i mocno Franciszka protegowała, równie jak prezes, który za jej namową, gotów był za niego ręczyć. I to jedno powstrzymało, że Wierzejskiego nie aresztowano.

Od wypadku tego posmutniała okolica — szczególnie dwór w Murawcu.

Nigdy tu bardzo wesoło nie było, ale od śmierci p. Daniela, jak w grobie się zrobiło milcząco i tęskno. Prezes przyzwyczajony do długich gawędek z Tremmerem, teraz milczał i wzdychał, nie mogąc sobie dobrać nikogo, bo — jak sam mówił, wszyscy mu się po nim, wydawali nie do rzeczy.

Ciocia Wychlińska chodziła zamyślona, a panna Leokadya blada, niespokojna, płakiwała po kątach. Nie mógł tego nie widzieć ojciec, ani się dać oszukać — zrozumiał dobrze, iż pod pozorem przyjaźni kilkoletniej ściślejszy, serdeczny związek połączył Leokadyą z Danielem. Udawał wszakże, iż nic nie domyśla się, bo po cóż było dziś, gdy wszystko tak smutnie się skończyło — daremne czynić wymówki biednej córce? Żałował jej, wyrzucał sobie, że przez egoizm

dopuścił do stosunków powszednich człowieka, za którego wydać jej nie mógł, a bólu tylko przyczynił. Wszystkie te wrażenia i wspomnienia oblokły smutkiem wielkim Murawiec. Nic rozerwać nie mogło, ani prezesa, ani cioci panny Leokadyi. Życie się wlokło nieznośne, długie, nudne.

Starający się nawet, na których nigdy nie zbywało dawniej, po tylu próbach daremnych, może z powodu że się rozeszła wieść głucha o przywiązaniu panny do nieboszczyka — zupełnie przestali się zjawiać. — Od kilku miesięcy nie było ani jednego. Z dawnych odprawionych, zajrzał czasem który, próbując czy się drugim razem nie uda, ale na pannę popatrzwszy, prędko się wyносił.

W istocie panna Leokadya od śmierci Daniela bardziej była milczącą, smutniejszą, dzikszą niż kiedykolwiek. Ojciec jej zaczął się lękać o zdrowie.

Jednego dnia, a było to już w końcu września, jeśli się nie mylę — ciocia Wychlińska weszła rano do pokoju brata, co się rzadko trafiało, z jakąś miną smutną i zakłopotaną. Prezes do otwartej rozmowy w rzeczach serca się tyczących nie był skłonny. — Siostrę kochał, ale jej wdowi humor go niecierpliwił.

— Cóż moja dobrodziejko powiesz? odezwał się wstając i idąc na jej spotkanie — czem ci służyć mogę?

— Nic, nic kochany bracie, ot, tak — mówiła ciotka — chciałam, chciałam z tobą postękać na osobności. Domyślisz się łatwo, o Leokadyą mi idzie.

Prezesowi zachmurzyło się czoło — westchnął.

— Cóż tu o tem mówić — odezwał się po cichu.

był ten się wybierał, komentowano, rozprawiano, ale na to się zgadzali wszyscy, że cała ta sprawa kuso jakos wyglądała i że w opowiadaniu pana Daniela prawdy nie było...

Na ucho udzielano sobie rozmaitych uwag i przypuszczeń.

Wieczorem do stołu wyszedł prezes zadumany i chmurny, podejrzliwie wpatrując się w córkę i ciocię Wychlińską, na których twarzach nic wyczytać nie mógł.

Sam nad wszelki wyraz ponury był i taił w sobie złe gniew, który w nim wrzał, szukając tylko pozoru do wybuchu. — Miarkował się jednak i wołał milczeć, gdyż czuł, że pierwsze wyrywające się słowo, poprowadzi za sobą wylew niepohamowany.

O. Serafin, który był także u stołu, zdawał się o niczem nie wiedzieć. — Jego naostatku użył prezes, aby ulżyć sobie i wypowiedzieć co chciał nie zwracając do córki i ciotki.

— Słyszałeś, spytał stłumionym głosem — he? wiesz już pewnie...

— O czem? zapytał ksiądz...

— Nieboszczyk się zjawił, szydersko dodał prezes, pan Daniel w Orygowcach znowu...

Potoczył wzrokiem i blada jak marmur twarz córki, zmieszana ciocia obudziły gniew.

— Dla moich pań to już pewnie nie nowina.

Ciotka zabrała głos.

— Przecież od rana o tem cała wioska wie!

— A jejmość nie wprzódty jeszcze? he?? mruczał prezes — coś się tu list bezimienny potwierdza... Ale trzeba się mieć i będzie się miało na baczności...

— A bardzo dobra myśl! Niech ci Bóg płaci! doskonala — zawolał — zabierzmy się ile nas jest i ruszajmy, zgoda.

— Jakto? i ty byś pojechał? — spytała zmięszana Wychlińska — i ty?

— No! a czemuż nie ja? — przerwał prezes. — Mnie tu teraz samemu jak palec zostać strasznie byłoby nudno...

— Ale gdzież ci tam taką podróż odbywać jesienią!

— No — a asińdzce!

— A! ja — to co innego. Tobie by się mogła pedogra odezwać?

— Myślisz? — zapytał prezes — a to prawda. gość z pedograw nie bardzo by był Benisi pożądanym. Kawal drogi... nie ma co mówić!... hm... jest racya.

Tylko znowu jak wy mi się wyruszyć tam i zasiadziecie, a broń Boże tam was zapusty zachwycą, a Benisia zacznie zatrzymywać. Cóż ja tu pocznę? — Ja się na śmierć zanudzę!

— A czyż my cię tak bardzo bawimy? — uśmiechając się mówiła Wychlińska. Weźmiesz sobie księdza Serafina do maryasza i gawędki, a sąsiadów ci nie zabraknie.

— A no — a no — rzekł prezes — wezmę to a delibierandum, asińdzka wybadaj Leokadyą.

— Ja bo ci się przyznam, że wprzód, niż ci to przyniosłam, już po trosze starała się wyrozumieć — wcale nie jest od tego.

Stary odwrócił się z uradowaną twarzą.

— Pewna jesteś tego? — spytał.

— Najpewniejsza! najpewniejsza — mówiła Wychlińska. Idzie tylko o to, a żebyś ty zgodził się na to.. Radaby zobaczyć Benię, tyle lat jakieśy u niej nie były, a jak ona tu ostatnim razem przyjeżdżała, już będzie dwa przeszło. Przecież wiesz, że ona cały majątek dla Leokadyi przeznaczła, że to jej jakby dziecko przysposobione. Kocha ona mnie, ale Benię chyba lepiej nademnie.

To jej sprawi radość serdeczną...

— Zmiłujże się.. dość! — zawołał prezes wstawając z krzesła — czy to mnie tak bardzo trzeba kounkować! czy jabym jedynemu dziecku nieba nie rad przychylić! A no — jedźcie, jedźcie — pojechałbym i ja. ale coś wy mnie nie chcecie!

Wychlińska się zmięszała.

— A czemużbyśmy nie miały chcieć — proszę cię — ale zastanów się sam...

— Tak! tak! pedogra — rozśmiał się — a w istocie żem stary nudziarz. Co prawda to prawda — nie gniewam się na nią...

Jedźcie same. Tylkoż wybór w drogę! ot to dopiero historia! — karetka poczwórna ciężka, trzeba do niej koni sześć, a kara klacz okulaowała i cug rozzerwany, doprządź nie ma co. bo tak rosłych w stadzie nie mam. Niebieska karetka do podróży nie wiadomo czy nawet osznurowawszy resory, wytrzyma. bo się łamie a łamie, i zaraz do niej pod służącą trzeba bryczki... Maciej z tym swoim kaszlem, Mikołaj głupi i smarkacz... kogo dać!

Chwycił się za głowę.

— A! cóż bo znowu — przerwała Wychlińska — czyż w Murawcu nie ma czterech koni i powozu? —

Ale u ciebie każda rzecz trudna i każda powodem do frasunku.

— Tak! asindźka by chciała — zawołał prezes, żebym fiu! fiu! bez namysłu! bez zastanowienia — tak marsz... zaimprovizował bzdurstwo i potem biedy nawarzył. Podróż to podróż! trzebaż przewidzieć, obmyśleć, zabezpieczyć. Ale z wami...

Wychlińska zatknąwszy uszy uciekła.

Gdy w parę godzin potem dano do stołu i prezes wyszedł do sali jadalnej, a córka, która go dnia tego nie widziała, przyszła przywitać... zdziwił się niepomą, zobaczywszy ją pierwszy raz od dawna, tak jakoś odświeżoną, odmłodziłą, z pogodnem czołem, uśmiechniętą... jakby sama nadzieja podróży już ją uleczyła...

Pocałował ją w czoło z radością.

— Moje dziecko kochane... zawołał zaraz... Wychlińska mi przyniosła dobrą myśl — nie prawdaż? Pojedziecie do Benisi, to cię rozerwie — to ci nawet pomoże na zdrowie, które od niejakiego czasu było nie najlepsze.... Jedźcie... Oczy Leokadyi zajaśniały, podniosła je z wdzięcznością na ojca.

— Doprawdy? godzisz się na to, kochany ojcze? zawołała z wyrazem wesołym prawie.

— Ale dla czegoż nie? jak tylko wam to może uczynić przyjemność! Głupi byłem, że się tego wprzód sam nie domyślił, a to teraz jesień, drogi będą szkaradne, plucha...

— E! to nic nie szkodzi... mówiła córka ściskając go.

— Powóz się gotów łamać, koniska się pozarzynała, — westchnął prezes...

— Ale wszyscy mówią, że jesień będziemy mieli prześliczną! dodała Wychlińska...

Prezes śmiejąc się siadł do stołu.

— A no — dobrze, dobrze — jedźcie, rzekł, usłucham nawet rady Wychlińskiej, i zaproszę na cały czas ojca Serafina. Oprócz tego Roch będzie dojeżdżał, jestem pewny. stary podkomorzy mi nie odmówi i jakoś ten czas się przeżyje...

— Zatem — wtrąciła ciotka — żelazo bić póki gorące — kiedy nas wyprawisz?

— A! kilka dni musicie być cierpliwe — bo na złamanie karku was nie puszczę, trzeba konie sprządzić, wypróbować, powóz opatrzyć, pod brykę oś podprawić, ludzi trochę oporządzić, żeby wstydu nie było. U Benisi po pańsku, a u mnie po szlachecku...

Tak wcale niespodzianie podróż ta postanowioną została — nim jeszcze panie wyjechały, prezes mógł się przekonać, że projekt cioci Wychlińskiej był na głębokiej znajomości natury ludzkiej oparty, gdyż Leokadyę sama nadzieja już zdawała się uzdrawiać. Cudownie prawie zmienił się humor, twarz; odzyskała wesołość, mowę, zaczęła się krzątać około wyboru z dziecinną prawie żywością.

— Kiedyś już taka szczęśliwa, że tak doskonale potrafiłaś mi dziecko rozbudzić do życia, szepnął na osobności prezes do siostry, postarajże się jeszcze sama i przez Benisę, żeby tam sobie kawalera znalazła, a bogatego i do rzeczy... Zresztą o bogactwo mi nie idzie, a mówię o niem tylko dla tego, że majątny lepiej wychowany być powinien... Wydamy ją za mąż

i odetchnę... Zapomni przecie o tym nieszczęśliwym Danielu, o którym ja sam przyznam ci się — do dziś dnia myślę z żalem.

— Jeśli ci mam prawdę powiedzieć — smutnie przerwała Wychlińska — mylisz się mój bracie, sądząc, że ona tak łatwo o nim zapomni... Nie tajno to dziś i tobie, że oni się kochali. Miłość była, jakich mało. bo spokojna, bez nadziei, a głęboka i rzewna... jakiej w życiu nie spotkałem... Nieraz mi się patrząc na nich serce ścisnęło... Twój wyrok postawił między nimi nieprzełamaną zaporę — nie mówili z sobą nigdy o tem, nie stykali się, nie boleli, dość im było, że się widywać mogli.

— A ja głupiusieńki ślepym był — dodał prezes, a asińdzka też rozumna, żeś mi nigdy nic nie powiedziała.

— Po co? zapytała ciotka — żebyś ich rozerwał i Leokadyi tych kilka chwil szczęśliwych, jakie miała w życiu, pozbawił.. Oni się pono zaczęli kochać. jeszcze gdy była w Warszawie... a Leokadya?

— Dajcie już pokój nieboszczykowi — westchnął prezes.

— Nieboszczyków się kocha najstalej! zawołała ciocia... O ile ja ją znam, ona mu pewnie wierną pozostanie do śmierci.

Prezes się aż z gniewu zaczerwienił.

— O! to! to! mówże jej to asińdzka i poddawaj! Utrzymuj ją w tym afekcie — żeby starą panną została! A! baby! baby!

— Ja przecież z nią o tem nie mówię — tobie wszakże winnam prawdę...

— Daj mi z taką prawdą pokój.

Umilkli tedy... W drogę się przysposobiono prędzej. niż prezes sądził, czuć było w tem i wpływ pań obu na ludzi i może u służ ochotę przewietrzenia się trochę. W kilka dni nie było pozoru do odkładania, nawet nie wzywany. jakby przeczuciem zjawił się ojciec Serafin. Prezes posądzał Wychlińską, że go tajemnie sprowadziła.

Pożegnanie było czułe, przestróg i admonicji nie brakło.... na ostatek powozy ruszyły przeżegnane z ganku przez prezesa... i cicho a pusto wyglądał — wyludniony Murawiec.

Zjawili się goście, lecz chwilowo, a ojciec Serafin sam cały dzień zabawiał prezesa w maryasza, w warcaby... lub rozmową ożywioną, bo nmiął powieści i legend takie mnóstwo, że mu na nich nigdy nie zbywało.

Chociaż wypadek w sąsiednich Orygowcach już był nieco wyszedł z pamięci, właśnie teraz znowu przypomnieli go sobie wszyscy żywiej. bo cioteczny brat p. Daniela, oddawna wzywany, dopiero przybywał dla objęcia po nim spadku. Coś mu tam znać przeszkadzało do wyjazdu. bo gospodarstwo zdał na Brauna i panią Słońską, obiecywał się. obiecywał i dopiero gdy go sąd zawezwał zagroziwszy administracyą, zdecydował się stawić osobiście.

Znać było po nim człowieka miejskiego. bardzo ogładzonego, i nawykłego do życia w stolicy, gdzie każdej chwili pieczone i gotowane pod ręką. Stary kawaler ale wesołego temperamentu, lubiący znać do-

brze zjeść a jeszcze lepiej wypić i w wesołym towarzystwie pobaraszkować — wcale nie był podobny do brata... Ogłady było w nim wiele, lecz wykształcenia mało. — Dobre człeczysko, niedaleko widział, ani mu to dokuczało, głowy mordować nie lubił.

Majątny sam z siebie, bo tam i kamienicę miał piękną i udział w jakimś handlu — nie wiele pono dbał o Orygowce, a nudziło go, że musiał się niemi zajmować.

Szczególna rzecz, iż tragiczna historia brata — która już była, prawda nieco przyschła — na nim żadnego nie czyniła wrażenia. Słńska była zupełnie zgorszona, gdy pierwszego wieczora po przybyciu. przy opowiadaniu o śledztwie, przerywaniu łzami zaczął się śmiać.

Co w tem mogło być tak zabawnego, że sobie Małejko głowę łamał nad okryciem zbrodni — biedna, pobożna kobieta pojąć nie mogła. Pomiarkował się prędko, to prawda i spoważniał, a nawet oczy sobie ocierał potem i tłumaczył się, że mu to się śmiesznem wydało, iż nic nie odkryto — wszakże na Słńskiej zrobiło to bolesne wrażenie.

Nawykły do wesołości, nazajutrz już z Braunem żartował, i pytał, gdzieby tu znośniej czas można przepędzić. Braun mu powiedział, że p. Daniel bywał często u prezesa, i że należałoby nawet podziękować Boromińskiemu za jego interesowanie się nieboszczykiem. Na to Żymiński głowę pokiwał tylko.

— Wiem, wiem, począł, to ten w którego córce się kochał! a no! wiem! pojedę! muszę dom zobaczyć. Ciekawym...

Jakoż po obiedzie, który mu się oprócz pieczy-stego z różną wydał bardzo lichym — kazał zaprzęgać i ruszył do Murawca.

Zastał tu i gospodarza i O. Serafina i pana Rocha.

Wszyscy z niezmierną ciekawością przypatrywali się przybyszowi, który w kwadrans rozweselił towarzystwo, nad losem brata wcale się nie rozcznając i nie chcąc nawet wcale mówić o nim. P. Roch oglądał go jak osobliwość, bo nic w sobie wieśniaczego nie miał; był człowiek innego gatunku, obyczaju, ruchu, mowy. Lekko jakoś brał powagi powiatowe a nawet z prezesem, którego tu wszyscy szanowali i byli dlań z respektem, — był za panie brat.

Pan Roch, człek dosyć zamożny, podsędek, dobrej familii, wydał mu się pono bardzo ordynaryjną figurą, bo go w godzinę po brzuchu klepał.

Mimo to wdzięczni mu byli, że troszkę z sobą wesołości przywiózł.

Prezes tylko nie rozumiał tego, iż o bracie unikał rozmowy, i na kondolencye głową trząsł obojętnie.

— Figła mi wypłatał, rzekł płochy, temi Orygowcami! Gdzie mnie to tem się zajmować — ja mam co innego do czynienia! A mieszkać to już ani myśleć.

— Przedasz waćpan łatwo! odparł prezes.

— A — nie, sprzedać nie mogę!

I jakby sam do siebie śmiać się zaczął. Przytomni się zgorszyli. Był jakiś dziwaczny w ogóle. Zgadało się o panu Danielu, którego wszyscy chwalili.

— Dobry był człowiek, to prawda, odezwał się Żymiński, ale my dwaj z sobą nigdyśmy bardzo nie harmonizowali. On zakrawał na uczonego, ja jestem prosty sobie człowiek; on był mieszczanin a poszedł na wieś, ja jestem ze starej szlachty a przyszło mi żyć na bruku. On był protestant, ja jestem katolik. On się całe życie żenić chciał—a ja i niech mnie Pan Bóg broni. W dodatku nigdy nie wiedział co jadł, a wino mu można było dać, jakie kto chciał, nigdy się na tem nie poznał. Żyć nie umiał. A no człowiek był bardzo dobry nie przeczę, tylko mi niepotrzebnie te Orygowce na głowę rzucił.

I śmiał się pan Żymiński; a goście przytomni patrzali nań zdziwieni niepomalu, zgorszeni nawet coraz widoczniej.

— Cóż pan sądzisz o tym wypadku nieboszczyka p. Daniela? zapytał p. Roch.

Ruszył ramionami Żymiński.

— Jam tu nie był, rzekł, nic o tem sądzić nie mogę, prędzejbym się u panów mógł poinformować — pasztet jakiś niezrozumiały, to wiem, że co najlepszego było, gotowiznę mi zabrano, bo Daniel miał grube pieniądze. Ale zobaczycie panowie, to się musi odkryć, to się wszystko odkryje.

Uśmiechnął się dziwnie.

— Piękna okolica u panów; nie ma co mówić — dodał — gdzie się takie rzeczy dzieją, że ludzie jednej pięknej nocy znikają ze świata bez wieści. Ja bym tu dla tego samego nie mieszkał.

— Więc pan sprzedaj Orygowce — rzekł pan Roch.

— Ale nie mogę, nie mogę, to znowu inna rzecz — rzekł Żymiński i zamilkł.

Prezes przyglądał mu się i przysłuchiwał z ciekawością wielką, nie obudzał w nim wszakże sympatyj tej, którą sobie zyskał pan Daniel. — Sama nie wczesna wesołość i lekkomyslna obojętność, z jaką tak tragiczny wypadek, śmierć brata przyjmował, odstręczała od niego. Oprócz tego pan Roch miał go za pyszałka i tonu, który przybierał, nie lubił.

Nie miano go czem zabawiać, naturalnie więc kondolencyjna rozmowa obracała się ciągle około tragicznego wypadku, co mu widoczną robiło przykrość.

— A! co tam już o tem mówić! — rzekł w końcu — nie wydobędziemy my z tego nic, kiedy już sąd i śledztwo nie potrafiło prawdy dojść. — Na to jest czas i sam Pan Bóg, który zawsze zwycięzko zagadki rozwiązuje. Zobaczą panowie, to się wyjaśni, ja nie mam na nikogo podejrzenia — bo to musi być sprawa obcych ludzi — kto to zrozumie!

Na tem urwawszy p. Żymiński zabawił krótko u prezesa i do Orygowiec powrócił.

— Nic go tu nie interesowało. — Braun i pani Słomska napróżno mu wykazywali korzyści i piękność majątku, chodził i ziewał tylko — rokazywać nie chciał nic i zmienić nie dozwolił.

— Niech wszystko zostanie tak, jak było za pana Daniela, o to jedno proszę — nic nie zmienić. — Ja tu gość — rządzić się nie chcę. Z majątkiem nie wiadomo co będzie. Wszystko po staremu.

Kazał sobie w gabinecie ślać i sypialnego pokoju nie zajął, co zresztą łatwo było wytłumaczyć —

rzeczy po panu Danielu nie tknął. Myślał najwięcej o kuchni i piwnicy, a znalazłszy je w dosyć pierwotnym stanie, widocznie na tem cierpiał.

Słońska była prawie gniewna, bo mu niczem, mimo największych starań dogodzić nie mogła. Kucharza nazwał kopcidymem i nie krył się z tem, że nie pojmował, jak tu ludzie żyć mogą. — Kilka dni tak strawiwszy dosyć nudnie, uregulowawszy' jako tako dalsze gospodarstwo, na które trochę pieniędzy zostawił, uznał się sam zbytęcznym w końcu, i — jak tylko mógł, pospiesznie się do odjazdu pakować zaczął. — Żegnając go Słońska przebaknęła coś o powrocie jego do Orygowiec — na co on ramionami ruszył i śmiać się począł. Dało to wiele jej i panu Braunowi do myślenia.

Ciotka Benisią poufale zwana w kółku rodzinem, mieszkająca w Sandomierskiem, młodsza od pani Wychlińskiej, była co się zowie wielką panią. Ona i jej nieboszczyk mąż, pan Hilary Pstrokoński, dorobili się fortuny, sami nie wiedzieli jak... kupna i sprzedaże szczęśliwe majątków, jakieś spekulacye, których wypadkowi sam nieboszczyk pan Hilary niezmiernie się dziwił. trochę ładu i porządku w domu, powiększyły tak majątności, że liczono ich do najmajętniejszych obywateli w okolicy. — Już to głową domu i główną jego sprężyną była zawsze pani Benigua... niepospo-

licie udarowana niewiasta, żywa, czynna, zabiegliwa, znająca ludzi i mająca nad niemi władzę wielką. Mąż kochał ją bardzo i, jak sam nawet wyznawał, był pod pantoflem. Umierając, zapisał jej cały majątek — bo dzieci im Pan Bóg nie dał. Owidowiawszy, choć do ręki jej zgłaszało się nieustraszonych jej energicznym charakterem mnóstwo pretendentów, ze wszech miar godnych przyjęcia — pani Benigną za mąż iść nie chciała... Leokadyę ukochała i otwarcie mówiła, że jej pozostawi wszystko. — Tymczasem żyła czynnie gospodarując i wcale nie unikając ludzi i świata. Dom miała na stopie pańskiej, gościnny i otwarty. — Nie kryła się z tem, że lubiła się bawić i około siebie widzieć twarze szczęśliwe i wesole — kilka panien, ubogich krewnych na wydaniu, kilku rezydentów należało zawsze do dworu. Dawała posagi i wyprawy, swatała chętnie, pomagała do pracy — próżniaków nie mogła cierpieć. — Życiu jej niepospolicie urządzonemu, dziwili się wszyscy, lecz i ona i ten sposób życia, obudzał powszechny szacunek. — Nie miała tylko łaski w tych kołach, które ją wciągnąć chciały w niezgodne z jej przekonaniem zajęcia i zabawy.

Sama stojąc na czele domu, wiedziała o wszystkim, kazała sobie sprawę zdawać z gospodarstwa, wglądała w rejestra... część dnia spędzała na obejrzeniu dworu, ogrodu. nawet rolniczych robót i mówiła o sobie, że — c ile pan Bóg i położenie jej pozwalało — była szczęśliwą. Również ochotna do pracy i do zabawy, towarzystwo każde umiała u siebie rozruszać, rozweselić, zająć, i — z wyjątkiem grub-

szej gry, której nie dopuszczała, miała w domu dla gości; wszystko co do przyjemnego spędzenia czasu posługuje.

Dwór, który na pałac zakrawał, z ogromnemi oficynami, ogrodem, kręgielniami, strzelnicą, bilar-dem. salą do muzyki, biblioteką, pięknym zbiorem nowożytnych obrazów... prawie zawsze bywał pełen odwiedzających. Niektórzy tygodniami tu przesiadali. Swoboda przez znaczną część dnia panowała jak największa, każdy robił co chciał i miał na posługi konie, książki. powóz... Coś to było w rodzaju angielskiego życia na miejskich zamkach... ale z polskim akcentem i uprzejmością nie ceremonialną. Na śniadania wspólne przychodził kto chciał, na obiady wszyscy, potem na herbatę. po której wieczór spędzano razem.

Wybrać też właściwszego miejsca dla roztargnienia i rozweselenia osmutniałej panny Leokadyi nie było podobna... zwłaszcza że ciocia Benisia również przynajmniej kochała ją jak Wychlińska.—Z listów tej ostatniej, która była niezmiernie czynną korespondentką, wiedziała pani Pstrokońska najdokładniej o wzajemnem przywiązaniu pana Daniela i Leokadyi. — Oburzał ją prezes, z którym o to kilka razy formalnie się kłóciła, że za p. Daniela wydać jej nie chciał. Lecz ze starym, gdy co raz zawyrokował, nie było sposobu już rozprawiać. Milczał a swoje zrobił. Wiedząc o tem pani Pstrokońska dała mu pokój, ale wpłynęło to na ostudzenie stosunków z Murawcem... Pisywała do brata rzadko i dawniej częsty gość. przestała bywać. Gdy straszny ów wypadek w Orygowcach, — przeraził wszystkich,

pani Pstrokońska chciała zaraz do siebie zabrać Leokadyą, ale ona sama naówczas wyjechać nie życzyła...

Oznajmiono listem cioci Benisi o zamierzonych odwiedzinach — i odebrano odpowiedź nagłą i najgoręcej zapraszającą. Napisała nawet do brata dziękując mu...

W najbliższym miasteczku wysłany naprzód rezydent, rodzaj marszałka dworu, stary, siwy żołnierz, pan kapitan Złowski — dla przeprowadzenia do Borków, przyjął panią Wychlińską i Leokadyą i konno potem powozy poprowadził, żeby lepszą pokazać drogę.

Nad wieczór jakoś już dojechali do rezydencji, a w ganku pani Pstrokońska uściskała siostrę i swe ukochane dziecię, Leokadyą.

Pani Benigna mogła mieć lat około pięćdziesiąt, choć na niej tego jeszcze znać nie było. Wyglądała ledwie na czterdzieści, czerstwa, rumiana, z twarzą świeżą, oczyma czarnemi patrzącemi rozumnie i bystro. Nieco otyła, mimo to poruszała się lekko i raźnie. — Sympatyczne jej oblicze, miało w sobie, mimo powagi, coś wielce pociągającego. Żadnego przymusu i fałszu nie cierpiąc, naturalna, prawdomówna, skarbiła sobie każdego łatwo, oprócz sykofantów i pochlebców, których cierpieć nie mogła i to im przy pierwszym objawieniu się charakteru, dawała poznać od razu.

Gdy z ganku weszły panie do wielkiego salonu jadalnego, zastały tam liczne dosyć towarzystwo przy herbacie... Tym razem pani Pstrokońska miała przy sobie dwie panny Orzymowskie, dalekie krewne, które w zapusty spodziewała się wydać za mąż, pannę Felicyą Orlandi, sierotę po przyjaciółce swej, wyszłej

za Włocha... a oprócz kapitana Złomskiego, był kapelan ks. Szura, staruszek żwawy jeszcze, i stary profesor Palcewicz, emeryt, przepędzający tu część roku... Trafił się jeszcze tego wieczora sąsiad pan Majdanowski, wielki wojażer i ciekawy człowiek, dla opowiadań o swych podróżach, zresztą kawał hulaki, żyjącego na łasce tych, u których wiecznie coś pożyczał, śmiejąc się sam z idei, że mógłby kto zażądać oddania. Był to człowiek dobrego towarzystwa, który zszedł na pasożyta nieznacznie, straciwszy znaczny majątek i zapatrywał się obojętnie na własną ruinę.

Wpadły więc z podróży milczącej i po pustym Murawcu, od razu w dosyć ożywione gronko ludzi, a Leokadya smutną swą twarzyczką zamyśloną odbijała dziwnie wśród wesółych. rumianych panien Orzymowskich i dziecinnie wyglądającej panny Felicji. Ciotka posadziła je przy sobie i rozmowa rozpoczęła się bardzo żywa.

Po herbacie dozwolono podróżnym trochę się przebrać i spocząć, wróciły do salonu na muzykę i rozmowę, a około jedenastej towarzystwo się rozchodzić zaczęło... Leokadya znużoną była tak, że się wyprosiła do swojego pokoju. ciocia zaś Wychlińska poszła z panią Benigną po długiem niewidzeniu na poufną pogadankę.

W pokoju sypialnym gospodyni, z wielką prostotą, ale wdzięcznie bardzo urządzonym, zasiadły obok siebie na sofie.

— Przywiozłam ci Leokadyą, odezwała się Wychlińska—może tu trochę odżyje.

— Daj to Boże, ale rany serca leczą się trudno, odpowiedziała wdychając gospodyni — a ta biedna

wiele z powodu tak okropnego wypadku z tym Danielem uciepnieć musiała. Nie dość, że straciła człowieka, do którego była — jak mi pisałaś, szczerze przywiązana, ale w tak okropny sposób... Powiedźże mi odkryto też... co to właściwie było? co się z nim stało?

— Dotąd — nic — cicho przemówiła Wychlińska jakby zbywając się przykrej rozmowy... Miałam wiele, wiele przykrości patrząc na szczere, serdeczne a tak ciche i ukrywać się zmuszone przywiązanie tych dwojga istot. Daniel był jej wart, ona go cenić umiała... Ale z prezesem, ty wiesz, ani mówić, jak sobie raz co powie... Musieli przed nim jak najstaranniej ukrywać swoje uczucia, bo gdyby najmniejszej rzeczy się domyślił — byłby mu drzwi zamknął natychmiast.

— E! stary nieznośny szlachciura! odezwiała się gospodyni. — A kocha tak tę Leokadyą, i sam przyznawał to, nawet pisząc potem do mnie, że człowiek był jej wart ze wszech względów. Tak się jakoś złożyło żem go nigdy nie widziała, ale z tego co od was wiem, wysoko go szanuję. Żal tego człowieka, żal mi niewymownie biednej Leokadyi.

— I pewna jestem, dodała Wychlińska, że gdyby był żył, tybyś w końcu gorąco do serca wzięła tę sprawę i byłabyś to jakoś tak poprowadziła, żeby prezesa zmusić do zezwolenia.

— Al cóż to już dziś mówić o tem, westchnęła pani Benigna. Nie możesz wątpić, że z chęcią bym stanęła do walki z nim. Różnica wiary to prawda, w małżeństwie, w stosunkach dzieci jest bardzo w rodzinie przykrą — ale nie może być zawadą wieczną dla ludzi, co się szczerze szacują, a wymagać odstępstwa byłoby

niegodnem. Co się tyczy jego świeżego szlachectwa, to po prostu — głupstwo! Ruszyła ramionami. — Któż dziś się z tem liczył to już śmieszność. Poczciwy pre-res nie może zapomnieć o dawnej wielkości Boremińskich, o której dziś nikt nie wie. Ale nie wznawiajmy tej sprawy.

— Owszem, kochana Benisiu, ja ją mam tak na sercu, że ją nieraz mimowoli przypominę. Nie miej mi tego za złe, kocham Leokadyą jak własne dziecko.

— Chyba nie więcej nademnie.

— O! nie kłóćmy się o to kto lepiej, dodała, siostrze rzucając się na szyję Wychlińska. obie zarówno starajmy się ją uczynić szczęśliwą.

— Ja jedna — zaczęła usiadłszy mówić powoli, ja jedna może wiedzieć, co się w jej sercu działo, co ona ucierpiała. Ona z uśmiechniętą twarzą musiała wychodzić, aby mu się nie dać domyślić, że w duszy ma głęboki smutek. A ten poczciwy i męskiego charakteru człowiek, jak on umiał się poskramiać, jak nigdy nie stęknął na dolę swoją, z jakim był zawsze uszanowaniem dla ojca i mogę powiedzieć, jak go kochał, choć ten mu mało nie codzień w oczy bryzgał, to jego pochodzeniem, to luterstwem. Wierz mi, takich jak on ludzi, coby przez lata całe mogli być szczęśliwi z jednego wejścia kobiety, mało na świecie.

— El szepnęła pani Benigna. Bogiem a prawdą wyznaj przedemną, że choć pewnie nic tam zdrożnego nie było, ale się przecie czasem gdzieś i poufalej spotykać musieli?

Ciocia Wychlińska kiwnęła głową.

— Zawsze tylko przy mnie — a że ja im ułatwiłam czasem jaką godzinę poufnej rozmowy, tego się nie zaprę. Miałam litość nad tą parą ludzi, skazaną na życie w męczarniach bez nadziei. To ci musi być wiadomem moja Benisiu, iż Daniel ją poznał jeszcze, gdy była na pensyi w Warszawie, i że przywiązanie wzajemne pochodziło z najpierwszych lat młodości. a dotrwało aż...

— Do śmierci! dokończyła gospodyni.

Szkoda człowieka, szkoda! Cóż tu teraz począć i z Leokadyą! boć—powiem ci, że po takiej miłości długiej i stałej, przypuścić nie można. ażeby się jej łatwo ktoś inny miał podobać.

— Któż to wie! szepnęła Wychlińska gdyby ktoś w tym rodzaju, przypominający choć w części pocciwego Daniela...

Leokadya dochodzi trzy...

— A! tak! tak ja to dawno ponczyłam! przerwała Benigna — biedne dziecko tyle lat zmarnowało. Na konkurentach pewnie jej tu zbywać nie będzie. Wszyscy wiedzą, bo ja się z tem nie taję wcale, że majątek mój cały, wyjąwszy legata, spada na nią... panna ślicznie wychowana. miła...

Z tą rozmową sióstr między sobą pierwszy wieczór w Borkach się skończył. Nazajutrz tryb życia zwykły szedł dalej — z tą różnicą, że wszystko co żyło wysilało się na zabawienie Leokadyi, na wymyślenie jej rozrywek. Obie panny Orzymowskie, panna Felicja — wszyscy aż do kapitana Złomskiego starali się odgadnąć jej gusta... nprzedzać życzenia. — Ciotka nie opuszczała jej prawie na chwilę,

badając z twarzy uczuć i śledząc, czy wyraz jej posępny nie schodzi powoli...

Pierwszy tydzień minął. a pani Pstrokońska pocieszać się tem mogła, że rzeczywiście Leokadya odżyła u niej i na nowo rozpromieniała. W drugim jakbs tygodniu wieczorem kapitan Złomski zwiastował, że obok Borków znajdującą się wioskę rządową zadzierżawił ktoś z Mazowsza.

— A ponieważ Rakowo z nami graniczy, nowego mieć będziemy sąsiada...

— Któż to taki? — zapytała gospodyni — nie wie pan jak się zowie? stary? młody? z familią?

— Trochę wiem, a wiele jeszcze do badać się nie mogłem — odparł Złomski, który miał sobie za obowiązek donosić o tem, cokolwiek się zdarzyło w sąsiedztwie. Jeszcze tego pana nie znam. Mówili mi ludzie, że nie stary ale też nie młokos, — a wygląda przyzwoicie. — Pono kawaler, więc na nasze panny strach.

Spojrzał na pannę Felicyą i Orzymowskie, które się poczerwieniły, a, co mu za złe miała gospodyni, znać rzucił okiem niepotrzebnie i na pannę Leokadyą, bo i ta npiekła raka.

Wiadomostka ta zresztą rzucona od niechcenia, przeszła nie czyniąc wielkiego wrażenia na nikim. — Ciocia Pstrokońska zajęta była właśnie odprawieniem koni i ludzi i całego dworu z Murawiec nazad do domu. Chciała zatrzymać Leokadyą na całą zimę, napisała list do prezesa, krzątała się około ubezpieczenia tej podróży, bo stary bardzo był troskliwy o konie i wozy. Należało więc kogoś dać do dozoru i wybór padł na kapitana. Co śmieszniej, służąca panny Leo-

kadyi. jedyny szczątek wyprawy jej z Murawca, przyznała się, gdy na dłuższy tu pobyt się zaniosło, że radaby powrócić, gdy się po Bożem narodzeniu za pana Brauna za mąż wybiera. Tak więc nie pozostał w Borkach nikt z tych, co tu przybyli z ciocią Wychlińską i panną Leokadyą, nad czem one jakoś nie wiele ubolewały.

Prezesowi to porwanie córki wytłumaczono w liściach, które pani Pstrokońska. Wychlińska i sama Leokadya wyprawiła przez kapitana. Pani Benigna dała do zrozumienia Złomskiemu, że jeśli by uważał pobyt swój w Murawcu miłym lub potrzebnym staremu, może tam ile zapagnie pozostać, za co mu pani wdzięczną będzie.

W miejscu kapitana następczył się do nadzoru we dworze porządku, z blizkiego miasteczka dawny protegowany pani Benigny, niejaki Sochaczewski. również exwojskowy, serdeczny człek, poczciwy i szlachetny, ale zbyt podobno z kieliszkiem w ścisłych zostający stosunkach.

Dawno bardzo pragnął on przejąć funkcją kapitana na dworze swej dobrodziejki, jak ją nazywał, i chwilowo powołany postanowił dołożyć wszelkich usiłowań, aby poprzednika zakasować. Panią Benignę uroczystą swą miną, służbistością i polowaniem na nowiny. bawił niezmiernie.

Trzeciego dnia po wyjeździe kapitana, Sochaczewski przystawił się do obiadu w bardzo dobrym humorze. Siedli do stołu, zwykłe pytanie.

— Co tam słyszać, panie Sochaczewski?

— Nic—pani dobrodziejko— ja jestem tak nieszczęśliwy, rzekł wzdychając, że gdy na zające poluję, to

mi tylko sroki drogę zachodzą, a gdy tylko do wilków wolno strzelać, zające siadają się umywać przedemną. Tak i tu. gdy chciałbym nowalijkę jaką dla mojej dobrodziejki ułować — posucha i nic. — A no — prawda! Jest chyba ta nowina, że nowy sąsiad nasz z Rakowa. którego przypadkiem poznałem, chciałby pani złożyć swe uszanowanie.

— Jak że się zowie? spytała pani.

— Podobno Żymiński. jeśli się nie mylę — odezwał się pan Sochaczewski — człek co się zowie miły i bardzo uprzejmy i statecznie wyglądający; a choć dzierżawca, znać że dosyć majątny — bo koło niego pięknie.

— A dla czegoż się tak ceremonjuje i wybiera jak czajka za morze — rzekła gospodyni — słyszę o nim od paru tygodni, obiecuje mi się i nie przyjeżdża. Gdy go pan zobaczysz, powiedz, że proszę, iż mu będę, rada.

Sochaczewski się skłonił!

— Gotowem umyślnie pojechać — rzekł.

— O! to znowu nie — przerwała pani Pstrokońska panien mam dużo, pomyśli, że go ciągniemy. Wszak kawaler?

— Kawaler, ale już nie tak bardzo młodzinchny, myślę, że lat ma pod czterdzieści.

— A cóż to strasznego dla mężczyzny! dorzuciła Wychlińska.

— Ma pani dobrodziejka racją. — Cóż to dla mężczyzny! Ja jeszcze się czuję, choć dochodzę pięćdziesięciu, zupełnie młodym.

Potarł czuba, rozśmiali się wszyscy, bo czuprynę miał siwą i wyglądał jak burak w śmietanie...

— Dochodzisz pięćdziesięciu! fanfaroniel poczęła gospodyni.

— Tak jest, słowo daję — poprawił się Sochaczewski... metryka nic nie zna, czy mam takich wiele lat, które się u mnie nie liczą.

— A chyba!—I śmiali się wszyscy z Sochaczewskiego, który im wtórował.

Parę dni upłynęło, ów przyobiecany pan Żymiński nie zjawiał się. Jednego poobiedzia, gdy w saloniku były tylko dwie siostry i Leokadya, oznajmiono gościa...

Wychlińska zerwała się z kanapy i przesiadła w szary kątek, zapewne, żeby się przybyły nie omylił, która z nich jest gospodynią, Leokadya także, nie lubiąca nowych znajomości powoli usunęła się z przed okna. Dnie były już krótkie i mrok przedwieczorny panował w pokoju, bo było pochmurno.

W progu ukazał się słusznego dosyć wzrostu mężczyzna, bardzo szykowny, który rzuciwszy okiem po salonie, chwilę się jakoś wstrzymał jakby onieśmialony, potem podszedł grzecznie do gospodyni, która postąpiła kilka kroków na jego spotkanie.

— Daruje mi pani, że się jej sam przedstawić muszę, odezwał się miłym ale drżącym nieco głosem—nie miałem nikogo, ktoby mnie do domu jej wprowadził, a chciałem mieć zaszczyt złożyć jej moje uszanowanie. Jestem dzierżawcą z Rakowa, o którym zapewne pan Sochaczewski już wspomniał.

Pani Pstrokońska spojrzawszy nań i widząc sympatyczną twarz i postać (co u niej wiele znaczyło, bo w pierwsze wrażenie wierzyła bardzo) podała mu rękę.

kę uprzejmie i—przedstawiła siostrę i Leokadyą, kryjącą się w cieniu...

Pan Żymiński skłonił się im z daleka tylko i przysiadł do gospodyni.

Myli się częstokroć człowiek, który nawykł w nowych znajomych szukać raczej pożądaných niż nienawistnych zjawisk, zawodzą sympatyę pierwsze—ale często też, zwłaszcza to co wstręt obudza, usprawiedliwia później zupełnie—instynktową odrazę.

Pani Benignie nowy sąsiad podobał się niezmiernie. — Chociaż z początku zdawał się, mimo dojrzałości swej, onieśmielony jak młokos i w głosie nawet jego czuć się dawało śmieszne w tym wieku drżenie, a ze wzrokiem jakby nie wiedział co zrobić, później nieco nabrał odwagi; rozmowa się potoczyła raźnie, wesoło, swobodnie, a gospodyni znalazła w nim człowieka wykształconego, dowcipnego, z taktem, słowem niespodziewane i mile dla sąsiedztwa zjawienie.

Wychlińska i Leokadya nie mięszały się zupełnie do rozmowy—chociaż parę razy zaczęła je chcąc do niej wciągnąć pani Benigna, nie odezwały się i nie zbliżyły. Szczególniej Leokadya w głąb sofę w kątku wsunawszy się, z głową spuszczoną na piersi, z rękami złożonemi, wydawała się jakby przestraszona i zmieszana. Ciocia Wychlińska poruszała się, spoglądała na nią—odkaszliwała i pozostała neutralną.

Po godzinie rozmowy o Warszawie, o nowych książkach, bo to była ta chwila, gdy nowa szkoła romantyczną zwana, właśnie występowała i powszechnie obudzała zajęcie, gdy Dmochowski, Wężyk, Koźmian, walczyli przeciwko młodym... a Morawski starał się dwa obozy przejednać...

Pan Żymiński wstał i zabierał się pożegnać panią Pstrokońską.

— Ale to nie w mieście miły sąsiedzie, przerwała mu gospodyni wesoło, na wsi tak krótkie odwiedziny nie uchodzą, ja ich nie przyjmuję. Jedzie się parę godzin po złej drodze, aby parę kwadransów zabawiwszy, na powrót znowu dwie godziny wlec się do domu—gra nie warta świecy. Połóżcie ten kapelusz, zostańcie na herbacie, i na wieczór, bez ceremonii, uczynicie mi przyjemność — proszę... Wszak nie boicie się powrócić po ciemku i nic wam zresztą nie przeszkadza zanocować u mnie. Nie róbcie ceremonii.

Żymiński się zawahał mocno, ale szczere, uprzejme wyrazy gospodyni przemogły — i został. Wkrótce podano światło, a że herbatę przyspieszyć kazano... wszyscy przeszli do salonu.

Tu całe się towarzystwo znalazło... a panny dosyć ciekawemi oczyma zmierzyły zapowiedzianego im kawalera. Przy świetle wydawał się on jeszcze młodym ale już nie młodzieńcem. Twarz miał wąską, poważną, piękną i uśmiech łagodny, sympatyczny. Czy to jednak, że nie był nawykły do większego towarzystwa, czy że się w tym domu tak pańsko wyglądającym po raz pierwszy znajdował—na swój wiek wydał się wszystkim zbyt nieśmiałym i pomieszanym, a jednak z rozmowy, którą pan Majdanowski może dla wybadania go, zręcznie zawiązał, okazywało się, iż wcale nowicyuszem nie był, wiele świata widział, znał ludzi wielu, podróżował po całej Europie, nie obcym był w lepszych towarzystwach po stolicach.

Ze wszystkich względów winszowała sobie takiego sąsiada pani Pstrokońska, bo się wcale kogo inne-

go spodziewała w ubogim dzierżawcy. Dziwiło ją też, że pani Wychlińska zwykle pomagająca chętnie w rozmowie, siedziała milcząca z oczyma spuszczonemi, zajęta zbieraniem pruszynek bułki po serwecie, a Leokadya odwracała się jakby ze wstretiem i ani nawet spojrzała na nowego gościa, chociaż go wypadło przy niej posadzić.

A gdy raz z toku rozmowy przemówić musiał do niej, zapłonila się, zaczerwieniła niezmiernie i ledwie jednym odpowiedziała mu wyrazem.

Za to śliczna panna Felicya i śmiała a wesoła siostrzyczka, panny Orzymowskie zaczępały go śmiało... Nie pamiętał od dawna milej spędzonego wieczoru w Borkach... a gdy po długo przeciągniętej herbacie pożegnał Żymiński panią Pstrokońską i towarzystwo zostało same, gospodyni nie mogła się powstrzymać od wykrzyknika.

— Cóż to za miły i sympatyczny człowiek! Siostra Wychlińska tylko i Leokadya poznać się na nim nie chciała....

Wszyscy do dworu należący, nawet panny potwierdziły zdanie o nim gospodyni.

— Nawet uczony, dalipan, odezwał się profesor Palcewicz — o czym go zagadnąć wszystko zna! dużo czytał... Smutno mi tylko, że pewnie na dzierżawie straci, bo tacy ludzie do gospodarstwa nie są stworzeni...

Sochaczewski także chwalił, nie sprzeciwiał się i ks. Szura, nie przeczył pan Majdanowski. Ostatniemu tylko nie w smak było, że prawie wszędzie był tam gdzie i on podróżował i znał krajów tyle.

— O! już niech sobie co chce myśli — śmiejąc się dodała gospodyni — nawet że go do moich panien ciągnę, nie dam mu się wędzić w Rakowie. musi mi być częstym gościem.

Wśród tego pochwał koncertu, śmiało panna Felicya i panny Orzymowskie głos zabierały, dziwny tylko kontrast stanowiła milcząca Leokadya i ciocia Wychlińska.

— A siostra co o nim myśli? spytała p. Benigna.

— Ja? ja nie zwykłam tak z pierwszego sądzić wrażenia... czekam z mojem zdaniem, abyśmy go lepiej poznały...

— Nie podobał ci się?

— Al nie! ale cóż chcesz... ledwie go widziałam.

Zwróciła się do Leokadyi ciotka, i zobaczyła ją dziwnie zarumienioną, a w oczach mającą jakby łzy — co ją niezmiernie zdziwiło. Pocałowała ją w czoło. — No—a ty moje dziecko? nie podobał ci się?

— Owszem — bardzo! odpowiedziała cicho siostrzenica.

— A jednak słowa do niego nie przemówiłaś.

— Bom go słuchać wołała! szepnęła Leokadya.

W parę dni potem już gospodyni trochę się niecierpliwiąc, chciała prosić na obiad sąsiada. gdy Sochaczewski dał znać, że go pono w domu nie było. Odłożono więc to do powrotu...

W ten sposób przybysz nowy, który nikogo znajomego w okolicy nie miał, zyskawszy sobie pochlebną opinią u pani Pstrokońskiej, której dom był wyrocznią dla sąsiadów — wkrótce zaczął być bardzo poszukiwanym i wszędzie go przyjmowano z uprzejmością.

A chociaż kawaler był nie najpierwszej młodości i skromna dzierżawa nie dozwalała się domyślać bardzo świetnego stanu majątkowego, matki troskliwe dojrzalszych córek, snuły już może przedzę projektów, znajdując go partyą bardzo znośną. Powierzchnowość miła ujmowała i przemawiała za nim. Ponieważ przybywał z Mazowsza, gdzie jak mówił, miał małe dziedzictwo, starano się nawet wcześniej przez stosunki, na jakich u nas nie zbywa, dowiedzieć o rodzinie Żymińskich. — Tak jakoś ona jednak nieznaną była i dopytać się o nią nie umiano.

Zrodziło to posądzenie czy się jaki bardzo zręczny awanturnik, przybłąda nie wiedzieć zkad nie ukrywa pod tą zagadkową postacią.

Pomimo tak przyjaznego przyjęcia w Sandomierskiem, słynącym jak W. Pol utrzymuje z owego staro—kochajmy się,—choć na pozór szczęściło się dosyć temu panu Żymińskiemu... los mu też nie poskąpił na wstępie nieprzyjaciela, Dzierżawę Rakowa trzymał przed nim szlachcic Górnicki, per fas czy per nefas, wywodzący się z rodziny onego Łukasza, czem się mocno chlubił.

Sztuka to była — czy tak starożytnego rodu, czy świeższej krescentywy, ale jakby z czasów pana Pa-

ska—zamaszystą okrutnie, krzykliwą. do wybitej i do wypitej gotowa zawsze, nie opuszczająca żadnego jarmarku i zjazdu ani imienin, głośząca wrzaskliwą mową, a domysławiająca się zawsze czegoś złego i najgorszego tam nawet, gdzie i pozornie do posądzenia brakło. Wdowiec, bezdzietny, pan Symforyan Górnicki, przeszedł na zabawach i ucztowaniach niemal wszystko co miał, dzierżawy nie płacił, remanentu nawet do utrzymania się przy niej nie miał, — musiał więc wyjść z Rakowa a mimo to nie mógł darować swemu następcy, że ten go, jak powiadał. wysadził i odgrażał się, a zaprzysięgał mu zemstę.

Nie miła to była sprawa z tym Górnickim dla nowego w okolicy człowieka; bo wzięwszy inną mniejszą dzierżawkę pod bokiem, wziął się dokuczać. Zaskłyszawszy o tem nowy dzierżawca Żymiński, z wielkim postąpił taktem, w miasteczku sąsiedniem będąc w niedzielę, poszedł wprost na kwaterę do odgrażającego mu się pana Symforyana i zaprezentował.

— Słyszę tu od wszystkich rzekł, że pan dobrze masz żal do mnie o ubieźnienie go do dzierżawy. Chcę się więc wytłumaczyć panu, że o nią na licytacji konkurowałem, podstępnych kroków nie czyniłem żadnych i nie zabiegałem. Nie słuszną by była do mnie pretensya.

— A tak! tak! piękne to są słowa — zakrzyczał czerwieniąc się Górnicki — to to po szlachecku, po obywatelsku starać się o dzierżawę, na której ktoś inny dwanaście lat siedział.

— Aleś pan z niej wyszedł!

— Wyszedł! tak! Byliby mi ją musieli dać i taniej, gdyby się nikt nie zgłosił. Jać dobrze to wiem, że

prawnie nie mam panu nic do zarzucenia, ale że mu tego ani nie zapomnę póki życia, ani daruję — na to się klnę słowem szlacheckiem.

— Będzie to niesprawiedliwe — rzekł Żymiński.

— Nazywaj to sobie jak chcesz! Jam tu osiadły od wieku, jam tutejszy, waćpan obcy, nie proszony, nie dziękowany, włączysz nam tu w obywatelstwo i wypychasz. odbierasz od gęby chleba kawał. Zobaczymy jak tu będzie — zobaczymy. My się tu trzymamy za ręce. Niewygodnie będzie asindziejowi, — ale jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

Rozmowa dłuższa z rozjątrzoną Górnickim była niepodobna, pan Żymiński odszedł nic nie mówiąc.

Symforyana znano jako niepospolitego szalawinę — nie bardzo zważano na to co plótł, pani Pstrokońska go nie lubiła i rzadko tu bywał — inni obywatele po przyjęciu go w Borkach, okazali się życzliwymi. — To właśnie gniew i chęć pomśzczenia się w panu Górnickim podżegnęło.

Nie nazywał go inaczej jak przybłądą, cyganem, awanturnikiem, ale poprzec tego twierdzenia gołosłownego niczem nie mógł. Zwiększało to złość jeszcze. Na razie nie miał czasu śledzić i dochodzić, kto był ten Żymiński i jaką ma przyszłość, przyrzekł sobie wszakże, iż choćby go to najwięcej kosztować miało — dojdzie do kłębka i przybłądę wyświeci.

Znano go z zaciętości i uporu niezwycięzonego, lecz Żymiński, choć może o tem słyszał, jakoś zdawał się lekcewżyć i nie troszczył się o wroga.

Na sercu leżało panu Górnickiemu, że w Borkach tak dobrze przyjęto obcego. bo się o tem zaraz przez Sochaczewskiego wieść na okół rozniosła — po-

stanowił więc — acz rzadko bywał u pani Pstrokońskiej i różnie ją przezywał. pojechać tam a Żymińskiemu popsuć. Scena z tego urosła wcale nie przyjemna.

Pani Benigna przyjmowała dobrze każdego gościa, gdy Górnicki (którego nie lubiła) przybył i dano jej znać o nim, wyszła do niego ze zwykłą sobie uprzejmością. Spojrzawszy jednak nań dostrzegła zaraz, że miał coś za nadrą — bo ledwie w miejscu mógł usiedzieć, jakby go piekło.

— Cóż tam nowego pan Symforyan słyszał?

— A wiele, wiele nowego a nieosobliwego, rzekł impetycznie gość, między innemi, że tu u nas nowe obyczaje zaprowadzają. Nowe sitka na kołkach a stare na śmiecie.. Taki jakiś awanturnik jak oto ten Żymiński, który kat wie zkąd się tu wziął.. rozpoczyna karierę od tego, że starych osiedlonych wykurza. licytuje, pędzi na bruk... ale że się podlizać umie, z honorami przyjmują...

Począł się śmiać złośliwie, pani Pstrokońska spojrzała surowo.

— Jeżeli to pan do mnie pijesz — rzekła otwarcie — przyznam ci się, że nie słusznie. Ten Żymiński nic panu nie zawinił. Ktośby zawsze w dzierżawę wziął, boś pan na niej tracił i utrzymać się nie mogłeś. — Co się tyczy człowieka, jesteś pan uprzedzony, daj Boże, byśmy takich więcej mieli obywateli!

— A co się mam taić — ja i do pani dobrodziejki mam żal i to może największy, bo taki jak jej dom. daje ton całej okolicy. Pani go łaskawie przyjmuje, drudzy łapać gotowi, a ja tego trutnia, daję pani słowo, wyparuję ztąd.

— Zdaje mi się, że pan tego niedokażesz, spokojnie poczęła pani Benigna, krwi sobie daremnie naspujesz tylko — jemu nie zrobisz nic. mnie zaś przykrość.

— O! że nie daruję mu, to nie daruję — zapalczywie kończył Górnicki. I zdemaskuję go i przekonam państwo. jakich wy tu ludzi oburącz przyjmujecie.

— Zkądże wiesz o nim — że go zdemaskować możesz?

— Zkąd? oto znać ptaszka po cholewach! ho! ho! Uczciwy człek znajdzie koło domu robotę, poszlakowany tylko jedzie daleko, gdzie o nim nie było słyhu, powtóre. znam ja się na ludziach... Układny człeczek! lisia natura... ja mu z twarzy czytam, co to za ptasio... Zobaczycie państwo! zobaczycie... Prześladować go będę, nękać... mścić się, aż go ztąd wygryzę i pójdzie jak nie pyszny tam, zkąd go tu licho przyniosło.

Pani Pstrokońska zarumieniła się aż z gniewu. którego powstrzymać nie mogła — nie chciała we własnym domu przykrego powiedzieć wyrazu gościowi, ale się odezwała krótko i dobitnie.

— Nie mów no pan hoc, aż przeskoczysz.

— Pani go bierze w obronę? — spytał Górnicki.

— Całą siłą, bo niesprawiedliwości nie cierpię. a mściwymi ludźmi się brzydzę.

Górnicki wstał z kanapy żywo.

— No — to ja tu gdzie mój wróg ma takich przyjaciół, nie mam pono co robić i — kłaniam uniżenie.

Pani Pstrokońska wstała z wielką powagą, ukłoniła mu się w milczeniu, nie mówiąc słowa i pożegnała.

Pan Symforan spodziewał się, że go ułagodzić i zawrócić będzie się starała. omylił się na ten raz, zawsze grzeczna w tej chwili była tak oburzona, że go nie wstrzymywała wcale. — Wyszedł więc w wielkiej pasyi, tak że w ganku spotkawszy się z Sochaczewskim, który nie wiedząc o niczem, przyjaźnie go powitał, rękę mu cofnął i zawołał: Wszyscyście mi tu wrogii... nie zbliżaj się waćpan tu do mnie — małeńki ja sobie jestem to prawda, a jednak wy mnie popamiętacie!!

To mówiąc krzyknął na konie, rzucił się na bryczkę i odjechał.

Sochaczewski osłupiał i nie rychło opamiętawszy się, pobiegł do pokojów rozpytać co się stało. bo się zląkł.

Zastał panią Pstrokońską chodzącą żywo po saloniku, zarumienioną z gniewu.

— Moja dobrodziejko — zawołał z progu — spotkałem tego trutnia wychodzącego ztąd — czy oszalał, czy co? Uchowaj Boże co przykrego pani mojej powiedział, to go na miazgę splaszczę...

— Daj mu pokój — uśmiechając się odpowiedziała gospodyni, może ja mu chyba nieprzyjemną prawdę musiałam powiedzieć i to go tak rozgniewało... Bóg z nim.

— Ale o cóż poszło?

— Ujęłam się za Żymińskiego tego, którego on nie wart rzemyka... bo się go zaprzysięga przesładować i mści się za to, że dzierzawę po nim wziął... Człowiek mi się podoba, i kłamać nie umiem, wzięłam więc jego stronę.

Sochaczewski ochłonał...

Weszła pani Wychlińska z Leokadyą, bo obie będąc w przyległym pokoju całą rozmowę słyszały, a choć ich sprawa ta obcego człowieka nie mogła wiele obchodzić, znać z powodu, że dotknięto pani Pstrokońskiej, bardzo były pomieszane.

Wychlińska ręce łamała — Leokadya miała lzy w oczach...

Widząc to pani Benigna starała się uspokoić obie uściskiem serdecznym.

— Jest to szalawila — odezwała się, znany całemu sąsiedztwu, który się wykrzyczy i — koniec na tem...

— Już to, pani a dobrodziejko moja — wtrącił Sochaczewski — pomimo powagi jej zdania, pozwoliłbym sobie zaprzeczyć, żeby tego Górnickiego lekceważyć można. Nie wygodny to człek, gdy się na kogo uweźmie.

— A! mój Boże — przerwała Wychlińska — po cóż mu było tę koniecznie sobie wybierać dzierżawę i takiego na wstępie robić nieprzyjaciela...

— Zapewne o niczem nawet nie wiedział — ale dajmy temu pokój, zakończyła pani Benigna, nie ma o czem mówić.

Na twarzach Wychlińskiej a nawet Leokadyi obawa o panią Benignę była tak widoczna, że je długo uspokajać musiała.

Górnicki zrobiwszy tu taką awanturę, próbował sąsiedztwo poburzyć opowiadaniem jej, przeciwko pani Pstrokońskiej, to mu się jednak tak nie wiodło, że jeszcze się okrutniej zburzył i do wściekłości został doprowadzony. W każdej okolicy nie zbywa na tej klasie nieszczęśliwej ludzi niepowodzeniem skwa-

szonych, którzy systematycznie są niechętni tym, którym się lepiej powodzi majątkowo i społecznie... byli to naturalni sprzymierzeńcy pana Symforyana, rozwodzającego żalę na arystokratów, na żółtobrzuchów (tak on zwał bogatszych) na darmożjadów tytułowanych... Utworzyło się więc kółko takich kaleków, potakujących Górnickiemu i gotowych sprawę wziąć do serca. Przy kuflach podano sobie dłonie i poprzysiężono wojnę na zabój przybyszowi. — Mniej śmieiej choć przyjaźniej usposobieni obywatele, nie chcąc zadzierać z tą szajką krzykliwą — milczeli i nie miesza-li się do niczego.

Pan Żymiński lub wcale o tym spisku nie wiedział, albo mało co i zdawał się go umyślnie ignorować, dopóty przynajmniej, dopóki by do wystąpienia jawnego nie został zmuszonym.

Co tam knowano przeciwko niemu nie rozchodziło się wcale. Wiedziano tylko o odgrózkach, o wykrzykiwaniach w miasteczku, o obelżywych różnych wymysłach na cygana i włóczęgę.

Nieszczęściem o nim tak mało wiedziano, że się ograniczano wierutnemi kłamstwami nie mającemi żadnej podstawy, a z życia nowego dzierżawcy, pomimo szpiegów, jakich miał w Rakowie pan Górnicki, który tam lat tyle gospodarując, zachował wiele stosunków — nic a nic zaczerpnąć przeciwko panu Żymińskiemu nie mogli.

Pletli więc, jak to u nas zwyczajnie, gdy kogo nie lubią, że wychrzt, że awanturnik, że gdzieś pieniądze pochwyił, że służył tam a tam za lokaja i t. p. Gadaniwy te jednak nie przystawały do niczyjogo przekonania, bo dosyć było się pokazać Żymińskiemu,

żeby im zwycięzko sama jego postać i znalezienie się zaprzeczyło.

Górnicki tem zajadlej plół i odgrażał się.

Już po owej bytności w Borkach pana Symforyana, przyjechał raz wieczorem Żymiński, dowiedziawszy się od Sochaczewskiego z którym w miasteczku się spotkał, że pani Benigna tak gorąco się zań ujęła — z podziękowaniem za jej dobroć.

Zastał ją samą z panią Wychlińską i nie wahał się na wstępie powiedzieć, z czem przybył.

— Pozwoli mi pani złożyć jej najszczerze z głębi serca dzięki za niezasłużoną łaskę, rzekł na wstępie. Miałem to nieszczęście, że mimowolnie zrobiłem sobie nieprzyjaciela. — Pani, nie znając mię prawie, raczyła się ująć za mnie. Jakąż jej winienem wdzięczność. Chciej pani wierzyć, że zasłużyć na dobrą opinią będzie mojem najgorętszem pragnieniem. Nie winienem nic... w sumieniu czuję się czystym.

Pani Pstrokońska rękę mu podała z uśmiechem.

— Nie masz pan za co dziękować — odpowiedziała — postąpiłam jak mi serce i sumienie dyktowało. To człowiek nawet zły nie jest — ale namiętny, a namiętność prowadzi często daleko.

— Nie dałem najmniejszego powodu do rozdrażnienia jej — mówił Żymiński — owszem, chciałem podając pierwszy dłoń nieszczęśliwy ten spór ułagodzić, ale mi się nie udało. Mam więc przed sobą nie wyzywaną walkę, która dla nowego człowieka, obcego w okolicy, wcale pożądaną nie jest. Z bronią potwarzy naturalnie wystąpią przeciwko mnie... racz mnie pani osłaniać.

W chwili gdy się ta rozmowa toczyła, weszła Leokadya i, co gospodyni domu zauważyła — przywitała gościa uprzejmie. Nie była już taką dziką, jak przy pierwszym spotkaniu, owszem, zdawał się ją dościszyć przybysz zajmować. Po kilku zamienionych wyrazach pani Benigna tak się ucieszyła tem ożywieniem Leokadyi, iż ją wyprowadziła do drugiego pokoju aby jej za to podziękować.

Gdy później wróciły znowu, gdzie z cicią Wychlińską pozostał Żymiński, — zastały go już na tak poufalej z nią rozmowie, iż pani Pstrokońska zdziwioną była urokiem, jaki ten człowiek wywierał. — Wszedłszy bowiem znaleźli go pochylonym i coś po cichu opowiadającym, znać w tajemnicy, bo się gość zaraz cofnął, a pani Wychlińska trochę nawet zmieszła.

W ogóle podobał on się wszystkim prawie i tego wieczora już tu był jak stary znajomy. — Rozmowa na przemiany z dwoma starszemi paniami prowadzona, zawiązała się potem z panną Leokadyą o literaturze pono, a tak się ożywiła, że chodzili długo po salonie we dwoje, widocznie smakując w swem towarzystwie.

Pierwszy to raz gospodyni od przyjazdu siostrzenicy widziała ją w tak dobrem, prawie wesołym usposobieniu i niezmiernie mu była rada. Szeptala cioci Wychlińskiej na ucho.

— Mój protegowany doprawdy dokazuje cudów! nawet się mojej Leokadyi potrafił podobać. — O! teraz mu nie daruję i częściej go muszę zapraszać. — Człowiek to bardzo stateczny i przyzwoity nie młokos —

a dziewczę mi się rozerwie, boście ją tu przywieźli taką stęsknioną, milczącą, aż mi się serce krajało.

Wychlińska nie odpowiedziała nic, oprócz że i jej się Żymiński podobał.

Zatrzymano go do późna, przez wielkiej trudności, nie wrywał się też wcale, i tego wieczora zbliżył się do wszystkich znacznie. Gdy przyszło do pożegnania, p. Pstrokońska wzięła go na stronę.

— Przyjedź pan do nas kiedy na obiad, wybierz sobie dzień w tygodniu, rada go będę widziała. Myśmy tu tego roku dosyć opuszczone, a mam gości z Wołynia, którychbym rozerwać rada. — Myślę, że mi pan pomożesz do tego.

Żymiński się skłonił, nie wymawiając, znać było z twarzy jednak, iż szczerze był gospodyni wdzięcznym.

— Pani dobrodziejko — odezwał się — państwu ja nie na wiele się przydam, ale dla mnie to łaska, że mi się dom taki miły otwiera, bo inne pewnie pan Górnicki postara się zamknąć przedemną.

We cztery czy pięć dni, gdy sąsiad się nie dał widzieć, pojechał go Sochaczewski prosić na obiad. Przy tej zręczności, że to był człowiek ciekawy i wścibski, potrafił obejrzeć i dwór i gospodarstwo, a powróciwszy nie mógł się odchwalić wielkiego ładu, porządku i zmian, jakie zaszły w Rakowie.

— Powiadam pani mej dobrodziejce — odezwał się, że nie poznać ani dworu. ani pól nawet, choć tak krótki czas jak on tu gospodaruje. Zaraz innego człowieka znać. We dworze starym na oko nie zrobiono wiele, a zupełnie teraz inaczej wygląda.

Naznaczonego dnia Żymiński przybył, i już się nie troszczyła o zabawienie go pani Benigna. Ze wszystkimi był jak najlepszy, a co najdziwniej, Wychlińska i Leokadya nawet sponały się z nim bardzo łatwo i prędko.

I znowu gospodyni zauważała, że siostrzenica nie unikała go i nie obeladzała się z nim, jak z obcym, a on ze szczególną dla niej był atencją.

Dwie piękne panny Orzymowskie. zwłaszcza starsza. dla której to był mąż gotowy i jakby umyślnie od losu nastreczony, napróżno starały się zwrócić na siebie jego uwagę. — Panna Leokadya choć go grzecznie przyjmowała — ale, jak panny szeptały sobie. przecieżby za posesora nie poszła... mogła wyżej wzrokiem sięgnąć... Żymiński dla wszystkich był bardzo grzecznym, ale nawet najmłodsza i najpiękniejsza panua Felicja urokiem swej twarzyczki pociągnać go ku sobie nie mogła tak. by miłe towarzystwo Leokadyi dla niej porzucił.

— No! no! szeptała starsza Orzymowska — zobaczmy pomiarkuje przecie, jeśli się chce żenić, że Leokadyi by mu nie dali... Zawróci się on do nas — a wtenczas, o! wtenczas ja się mu podrożę!! zobaczycie...

Spodziewany zwrot ten jednak nie nastąpił — owszem — ku wieczorowi chodził znowu p. Żymiński po salonie z siostrzenicą gospodyni prowadząc rozmowę bardzo ożywioną. Panienki były niezmiernie ciekawe coś z niej podsłuchać — ale mimo zręczności swej, łapały tak urywane i obojętne słowa, iż się z nich nic skleić nie dawało. Starsza panna Orzy-

mowska, mająca sąd już wytrawniejszy, czyniła uwagę, iż zupełnie wyglądali jak para dobrych, dawnych znajomych...

Po tych to odwiedzinach Wychlińska poszła wieczorem do siostry na gawędkę...

— Powiedz mi moja droga, cicho szepnęła gospodyni — czy ty to uważasz... ale nie mogłaś nie wiedzieć przecie... mnie się zdaje, że Leokadya szczególnym sposobem spodobała sobie mojego faworyta... Jak myślisz? Cały wieczór prawie chodzili z sobą.

Ciocia spojrziała tylko na siostrę, jakby chcąc ją wy badać, czy tego za złe komu nie miała — gościowi, lub siostrzenicy, ale twarz pani Benigny uśmiechała się....

— Uważałam to — rzekła po chwili — lecz znając Leokadyę, powiem ci, że to nic nie dowodzi, i że się obawiać nie ma czego.

— Ale ja bynajmniej się nie lękam. tylko cieszę.

— Leokadya, kończyła Wychlińska — nie ma wcale pretensyi do podobania się, ani myśli o tem, ażeby ktos z tem się do niej zbliżał. To człowiek nie nazbyt młody, poważny — nie zapali mu się głowa tak łatwo...

— Moja droga, przysiadając się bliżej do Wychlińskiej, rzekła siostra po cichu, sądzę, że ty się całkiem inaczej na to zapatrujesz niż ja.. Leokadya ma lat trzydziesci, cierpiała wiele, gdyby się trafił przyzwolity człowiek, któryby się jej podobał.

— Nawet taki pan dzierżawca? zapytała Wychlińska.

— A co mi to znaczy? żywo przerwała Benigna, my fortuny nie potrzebujemy tylko człowieka...

— Choćby i nazwisko nie bardzo brzmiące nosił?

— Nazwisko mi zupełnie obojętne, dodała gospodyni. Prawda że Boromińscy piękna. stara szlachta, że Pstrokońscy rodzina niegdyś znakomita, ale familie rosną i upadają — a majątek zaraz im nadaje dystynkcyę... Więc...

Nie dokończyła, uśmiechnęła się ciocia Wychlińska.

— Wszystkiem w małżeństwie szczęście, al tak, moja droga... Gdyby się kochali tylko... Ale prezes, prezes! ty nie tak go znasz dobrze.

— Już dosyć córkę nawędził — szparko dodała Benigna.

— A gdyby mn przyszło do głowy i tym razem stanąć ze swoim veto — ?

— Byleby Leokadya chciała szczerze... przerwała gospodyni — biorę ua siebie wszystko.... gniew ojca....

— I gotowabyś ich pożenić. —

— Z czystem sumieniem! Ojciec dziwak... uparcioch... dziecko przepada, młodość się marnuje. Dosyć już tego jednego nieszczęścia...

Naturalnie tego nie mówię, żebym już dziś za nieznajomego człowieka miała ją wypychać. Trzeba go dobrze poznać, dłużej. no — i niech Leokadya stanowi o tem... a jeśli na nim żadna się kondemuata nie znajdzie, dam im ślub jak muie widzisz żywą.

Wychlińska ją ucałowała.

— Kocham cię Benisiu — za tę twoją energią — zawołała z uniesieniem. Ale — słuchaj no jeszcze — a jeśli i to, broń Boże — protestant?

— A! to nie może być! odparła Benigna, dwa razy się w życiu nie zdarza tak trafić — zwłaszcza u nas. gdzie lutrów na palcach policzyć można.

— Tak — ale to, jak czyje szczęście — a nuż?

Benigna zastanowiła się długo i smutnie...

— Wiesz co... ale nie! to być nie może?

— Ale gdyby tak było?

— Zdaje mi się, że dla szczęścia Leokadyi — a! i na tobym niezważała, gdyby ona tylko sama tego sobie życzyła... Smutna toby była rzecz...

Przerwała rozmowę na chwilę, — Wychlińska wstała.

— Teraz, żegnając ją, szepnęła Pstrokońska. nie płoszymy ich tylko. nie bardzo potrzeba zwracać uwagę na nich, nie przeszkadzać. Leokadya wyraźną okazuje sympatią, on dałby dowód bardzo złego gustu, gdyby się w niej szalenie nie pokochał. A co się tyczy jego procedencji o wyjaśnienie jej postara się za nas p. Górnicki, to ręczę...

Prorocze było zakończenie owej wieczornej rozmowy przez panią Benignę; Górnicki bowiem w istocie nie mogąc tu zasięgnąć innego języka (oprócz że Żymiński był z Mazowsza) — jak był człowiekiem upartym i zaciętym w zemście, postanowił jechać na Mazury, dotrzeć do gruntu i przywieść dokładną wiadomość o cyganie i przybłędzie. Nie uazywał on go inaczej, a z góry był pewny, że zdobędzie dostateczny materiał do „wyświecenia“ tego człowieka i zamknięcia mu wszystkich domów.

— Ja tego tak jestem pewny — powtarzał wybierając się już w drogę, jakbym słyszał i widział, że to lotr z pod ciemnej gwiazdy.

Dość na niego spojrzeć. dość pokombinować jak tu przybył, że nikt nie wie z kąd... kto go rodzi?... gdzie ojcowizna? Jakie koligacye? Awanturnik i po wszystkimu...

Utwierdził się jeszcze w tem zdaniu pan Górnicki, gdy na wyjezdne, pragnąc przynajmniej wiedzieć, z których stron Mazowsza pochodził Żymiński, począł zapuszczać sondy przez swych zauszniaków u dworskich w Rakowie.

Mazury rozległe, Warszawa jak las, szukać tak wiatru w polu, nie wiedząc, gdzie się oprzeć, było bardzo ciężko.

Zdawało się Górnickiemu, że ze sług który wygada się z czemś i na czemś i nasadził na nich dawnych swoich dworaków. Tymczasem okazało się, że jedyny służący Żymińskiego, który z nim przybył wzięty był niedawno w Warszawie. pana swojego nie znał wcale i głucho tylko słyszał. że miał jakiegoś brata w Warszawie, a dziedziczną część nie daleko od miasta.

Innych oficyalistów dobrał sobie nowy dzierżawca w miejscu.

Nie podobало się to panu Symforyanowi.

— Uczciwy człowiek by się tak nie osłaniał i nie obwarowywał! — wołał ciągle — oszust jest jakiś — samozwaniec — przechrzta i po wszystkim?

Dokądże było jechać? co robić?

Nic nie wiedział sam pan Górnicki. postanowił jednak wyruszyć na tę wyprawę i nie wracać aż się czegoś dowie. Pożyczał na to pieniędzy, byłby ostatni surdut sprzedał a nie ustąpił, tak był pewny. że znajdzie sposób pomsty na nieprzyjacielu.

— Zje kaduka, jeśli mi się wysłiznie! wołał, żeby był z piekła rodem. to i ztamtąd mu metryki jego dobęde. Kiedy wojna to wojna. — Pokażę ja mu jak w Sandomierskiem kochają się i — nienawidzą.

Już na wyjezdnem był. gdy ktoś z sąsiadów, przyjaciół serdecznych nadciągnął. Wiedziano wprawdzie, że się odgrażał jechać — ale temu nie bardzo dawano wiarę. Sąsiad szlachcic hulaka, jak i Górnicki, zdziwił się niepomału widząc, że bryczkę ładują.

— A to mi się podoba! rozśmiał się — dokąd? sam nie wiesz? — po co? — nie masz cierpliwości? Pie-niędzy trochę stracisz. któreby ci się w domu przydały i wrócisz z nosem na kwintę.

— Zobaczycie! — nie znasz mnie chyba panie bracie!

— A co ci z tego przyjdzie?

— Zemsta!

— A jak człowiek czysty?

— To nie może być.

— Wieszże ty co — odezwał się w końcu sąsiad — żał mi cię — przynajmniej ci się jakąś wskazówką przysłużę. Rzecz taka. U nas nazwiska nie wiele znaczą, bo je od wsi brano, jedną nazwę noszą często familie zupełnie różne — ale choćby kto do rodziny nie należał. o nazwisku zawsze wiele słyszał. Ja jednego Żymińskiego znam w Warszawie, bo się tam hulało. póki było za co! hej! hej! — Miał dom przy Senatorskiej ulicy. Możebyś ty się od tamtego o tem co dowiedział?

Górnicki aż się go ścisnąć rzucił.

— Niech ci Bóg płaci! Oto już światelko, a mnie wiele nie potrzeba — niteczki tylko... pójdę za nią dalej.

Z tem tedy wybrał się pan Symforyan wprost do Warszawy.

Jesień była dosyć późna, drogi okropne, lecz gdy kogo zemsta piecze, to tak jak miłość, nie ma złyj drogi — zemście na wrogi. Było to także ze starych czasów pono przysłowie.

Górnicki gdy się za co wziął, to zębami i rękami. jak mawiał, — choćby tam zęby miał zostawić. Le-
ciał do Warszawy jakby go piekło, o mało koni nie pochwacił, bo jesienne były wiatry i drogi szkaradne. Dobił się tam przemokły, zmęczony, z kołami połatanymi w drodze, stanął gdzieś na Bednarskiej ulicy. a nazajutrz już o Żymińskiego po świetcie pytał.

Nie trudno mu się było o niego dowiedzieć, bo go ludzie dobrze znali. — Mieszkał we własnym domu przy Senatorskiej, tylko że nigdy tam nie siedział. Wychodził zwykle po ósmej, a wracał różnie — czasem i po pierwszej w nocy. Pierwszego dnia więc Górnicki próżno razy trzy dzwonił do drzwi, i musiał cierpliwym być do drugiego rana. W kamienicy stróż go objaśnił, iż pana inaczej jak o ósmej rano nigdy na pewno znaleźć nie może.

Niecierpliwy Górnicki dzień spędził jak mógł, a następnie pół do ósmej już był pode drzwiami. Żymiński, który w nocy powrócił, bodaj gdy się już na dzień brało, — spał jeszcze. Do pokoju nie wpuszczono, musiał wartę odbywać w korytarzu. Kłął też co wlażło, bo na wsi nie był do tego przywykły.

Po długiem oczekiwaniu, pukaniu i dopraszaniu się. Żymiński dowiedziawszy się od chłopca o tym natrętnym gościu. wpuścić go kazał, choć jeszcze w łóżku leżał. Nie mógł pojąć co to tam za jeden tak pilny miał interes, i na łokciu wsparty, nabrzękłemi po wczorajszej hulance oczyma wpatrzył się w nadchodzącego Górnickiego z miną kwaśną. Człowiek którego na przebudzeniu natręt gnębi, niezwykły być dobrze usposobiony.

Górnicki też po godzinnej przechadzce w korytarzu był zły. — Nieznajomi sobie wilczemi oczyma na siebie patrzeli.

Szlachcic zawadyaka, który sobie mieszkającego w kamienicy jegomości miał za ba i bardzo, a siebie za daleko coś lepszego, wszedł zaburmaszysto. —

— Kłaniam uniżenie.

I nim miał czas się Żymiński odezwać, obejrzał się za krzeselkiem. nie proszony je wziął i siadł u łóżka.

Żymiński patrzył zły a ciekawy co to z tego będzie.

— Ja tu do pana dobrodzieja niemal nmyślnie z Sandomierskiego przyjeżdżam, poczał Górnicki.

— Do mnie? ale ja zdaje mi się nie mam honoru go znać?

— Ani ja — pana. — To nic nie szkodzi. mówił Górnicki. Jestem Symforyan de Góry Górnicki szlachcic z Sandomierskiego...

— Winszuję — ale czemże służyć mogę? przypatrując mu się ciągle odparł gospodarz.

— Jest rzecz taka... mówił Symforyan. Wlaź mi tam pod żebro jakiś kiep, a nazywa się Żymiński,

wyparł mnie z dzierżawy. zalał za skórę.. Jestem pewny, że to jakiś samozwaniec, który dobrego imienia źle używa... chcę go zdemaskować... chcę go wykurzyć. Myślę, że mnie pan. dbając o honor nazwiska swojego. dopomożesz do wyświecenia tego oszusta.

Pan Żymiński słuchał bardzo uważnie. głowę kręcił. cmokał. ale nie rychło się zebrał na odpowiedź.

— Cóż to za Żymiński. spytał — jak mu imię?

Górnicki uderzył się po czole.

— Imię? kat go wie jak mu imię! Tu idzie o nazwisko.

— Ale tego nazwiska jest nas dosyć po świecie, jakże ja mogę odgadnąć o kim mowa.

— Ja go panu opiszę — rzekł Symforyan.

Żymiński w łóżku siedząc śmiać się zaczął. Śmiech ten oburzył siedzącego na krześle.

— Mościłanie! zawołał.

— Ale dajże mi się wysmiać! zawołał z łóżka Żymiński — a teraz proszę o rysopis.

Górnicki sam zmiarkował, że był śmiesznym, tarł czuprynę.

— A! niechajże go kaci porwą! żeby też imienia nie pamiętać! zakrzyczał. Śpieszyłem się z domu i ze łba mi to wyleciało.

— Cóż on tam spłatał wam ten Żymiński? spytał leżący.

— Co? ja panu powiem. — Czy to tak się robi po obywatelsku, po ludzku, żeby w cudzy kąt, nieznajomemu oś przec i drugiemu kawałek chleba od ust odebrać! Zlicytował mi dzierżawę — licytował wściekle,

więcej niż warta, wykurzył mnie. Ja mu tego nie daruję... zakląłem się, że mu to odpłacę.

— Jakże wygląda ten Żymiński. . .

Górnicki jął się opisywać. ~~„~~ Słusznego wzrostu, brunet, lat pod czterdzieści, z twarzy niczego, ale pachnie albo wychrztą lub cyganem.

Żymiński się uśmiechał.

Górnicki, który się był ~~„~~ . . . popatrzał i ręką machnął. Wyglądało to na ~~„~~ wart....

Nie pożegnawszy się więc, ~~„~~ rzwiami trzasnął i wyszedł.

Żymiński w łóżku leżąc podparty na łokciu, śmiał się aż trząsał, powtarzając po cichu — zawsze sobie nawarzy biedy...

Górnicki wyszedłszy już, nie wiedział gdzie się obrócić. Miał jednego dobrego znajomego w Warszawie, stryjecznego brata, który w ułanach służył. Pułk właśnie był w Warszawie, powłókł się do niego, ale z wojskowego co było wziąć? gdyby do wypitej i do wybitej, to jeszcze, ale do takiego śledztwa?

Zawsze choć poskarżyć się mógł i postękać. Brata znalazł właśnie powracającego z rannych jakichś manewrów i tylko co odpasującego szablę. Rzucili się sobie na szyję.

— Co ty tu robisz?

— No — nie pytaj! będę gonie po świecie... I począł mu Symforyan szeroko opowiadać o sobie i swej przygodzie... Ułan słuchał.

— Pozwól bratku powiedzieć, w piętkę gonisz — rzekł sncho — co ja bym z takim jegomością się ceremoniował — a toć go należało na rękę wyzwać i obciąć mu uszy... a ty szukasz... wiatru w polu.

— Jakiś ty symplicyusz — oburzył się Górnicki — ale ja go posądzam, że nie szlachcic — a nuż cygan?...

— Już ja bym nie pytał a zwał...

Rozprawił długo, ułan nie na wiele się rzeczywiście przydał, lecz, jak to czasem i najprostszy człowiek może — po godzinie rozmowy odezwał się. — Innej rady, tylko ci nastręczę móla. co tu ma być dla szlachty i jenealogie im pisze... Od tego się o Żymińskich dowiesz najlepiej. Poznałem go, gdy papierów do heroldyi potrzebował.

Po obiedzie tedy poszli razem biura szukać... Choć ludzie za fantazyę szlacheckie zwykli drogo opłacać i takiemu mólowi powinno się było dobrze powodzić — znaleźli człowieka wysokiego, chudego, w surducie wytartym, w pokóiku ciemnym na tyłach. wśród półek foljantami zastawionych. widocznie biednie żyjącego z tych papierów. Bardzo grzecznie podał im krzeselka stare i wysiedziane i wysłuchawszy milcząc żądania... począł cichym, ochrypłym głosem...

— Litera Ż... Ż... Żymiński zaraz. Żymiński... może Żemiński? he? W herbarzach o żadnych nie słysząc... U mnie... czekaj pan... a! są Żymińscy herbu Rola... alias Kroje... tak... są... Jenealogia w porządku...

Tu się zatrzymał i oczyma wyzywał pana Górnickiego.

— Czy panu potrzebna notatka? dokumenta do wywodów? czy prosta kwerenda...

— Poufna wiadomość tylko. ile. gdzie jakich Żymińskich jest z Żymina wielkiego, małego. złotego i czarnego, górnego i dolnego...

— He? he? spytał podnosząc osiwiałą jakąś twarz Mól — he? ja o żadnych tych Żyminach nie wiem.. To bałamuctwo... Żymińscy są jedni. za to ręczę.. jednym jedni. Ostatnim potomkiem tego rodu jest pan Żymiński, właściciel realności przy ulicy Senatorskiej, godny człek, urodzony z Tremmerowej, cioteczny brat tragicznie zamordowanego pana Daniela..

— Ale ja u niego byłem właśnie i on mi o tych Żyminach plótł.. Mól się rozśmiał, jak długi rozprostov

— ... ba żartem...

— ... a mu żarty!... mruknął Górnicki — pan tego Żym jesteś?

— Jak najpewniejszy... zupełnie pewny.

— Wiesz pan co — rzekł po chwili ruszając ramionami — Żymińskich po świecie dużo, bo i Żymionów jest kilka. Jest Żymin dolny i górny, wielki i mały. jest Żymińska Wólka, jest Żymin złoty nawet, i Żymin czarny. Od wszystkich tych wsi brali nazwiska różni, co ja wiedzieć mogę jaki to Żymiński? My jesteśmy z Żymina złotego.

I uśmiechał się.

Górnicki usta gryzł, tak mu źle jakoś było.

— A toć pewnie samozwaniec. mruknął.

— Co mnie może obchodzić, że jakiś Żymiński z dolnego lub górnego Żymina bierze dzierżawę w Sandomierskiem, dodał leżący...

— Imię plami! burknął Górnicki.

— Ale się nie pisze ze złotego Żymina?

— Ja myślę, że on się z żadnego nie pisze, — mruczał Symforyan — to samozwaniec — fizys izraelska...

— Musi być tedy przystojny. bo stara arystokracja izraelska ma powszechnie rysy piękne... śmiał się Żymiński — dawny ród! daj go katu! — parę tysięcy lat rodowodu z górą — tem się żadna nasza pańska familia nie pochlubi.

Okiem pełnem gniewu spojrzał nań Górnicki.

— A no! ja widzę — zawołał, że wy wszyscy Żymińscy ilu was jest podobniście do tamtego, — bo i waćpan ze Złotego Żymina obracasz w żarty sprawę szlachecką. — Przecież o Żymińskich coś wiedzieć musisz...

— Nawet bardzo wiele! mówił szydło — powoli nazad na poduszki się kładnąc i ziewając — ale któż odgadnie, jaki to tam mój imiennik — brodziejowi miał nieszczęście się narazić!

— Żadnej więc wskazówki? zawołał wstając z krzesła Górnicki z wielką butą.

— Niestety! kiedy nawet imienia waćpan nie wiesz, a z rysopisu nie mogę być mądry.

Górnicki się skłonił lekko i podążył do drzwi. w tej chwili jakby się rozmyśliwszy, leżący zawołał.

— Wiesz pan co? dwa słowa jeszcze? Coś mi się widzi, że ten... ten Żymiński — (uśmiechnął się) musi mi być bodaj stryjeczny. Wiem jednego takiego desperata, któremu właśnie dzierżawy było potrzeba. Mogę więc panu jedną tylko dać wskazówkę i radę — nie zaczepiaj go. — To lichy zły i twarde do zgryzienia. — Wierżaj mi pan...

Miłość własna jenealogisty została podrażnioną.

— Proszę pana, dodał, mogę się tem pochwalić, że co się tyczy jenealogicznych wiadomości, doprowadzonych do ostatnich lat, nikt w całym kraju nie miał. nie ma i mieć nie będzie dokładniejszych. Przyznali mi to uczeni i prawnicy. Dwadzieścia lat zbierałem materyały, kupowałem ich wiele, mogę ręczyć, że Żymińskich innych nie ma, więcej powiem, stawię zakład, co pan chce!

Górnickiemu w to graj. byłby go uściskał, zerwał się aż z krzesła zarumieniony.

— Otóż to, to mi człowiek! zawołał — tak! tak! tamto niechybnie samozwaniec, a jegomość z Senatorskiej ulicy żarty sobie stroił. Ja to czułem. że jakiś przy... la... łotr...

Mó... omiarkował, że się za daleko może pnieć i że tu szło o grę niebezpieczną — pobladł trochę.

— Widzi pan — rzekł chłodniej — szlachty Żymińskich więcej nie ma, to rzecz pewna, a co się tyczy innych wszelkich jacyby być mogli, to nie moja sprawa.

— Więc szelma nie szlachcic, a imię szlacheckie nosi? jakim prawem? krzyknął Górnicki.

— Kochany panie. zimno odparł mól. Ja panu powiem anegdotkę o jednej rodzinie... która będzie a d r e m. Jest na Litwie rodzina jednej dzielnicy z Korybutami, Woronieckimi i Wiśniowieckimi, Korybutów Daszkiewiczów... stary ród, ongi książęcy. Nieboszczyk Daszkiewicz stary przybywszy raz do Grodna, każe sobie wołać szewca, żeby mu wziął miarę na buty... Gdy się ta operacya odbyła, pyta go: — Jak się waszmość nazywasz? Szewc z ukłonem odpowiada — Daszkiewicz.

Stary czmychnął.

— Hm! — rzekł — szczególna... ja jestem Korybut Daszkiewicz... jakże to będzie — waćpan się chyba nazwiesz Kroibut Daszkiewicz. *)

Co na to poradzić innego — dodał Mól...

Górnickiemu nie zbierało się na śmiech. ramionami ruszył.

— Mnie tu anegdotki nie potrzebne, — ale wiadomość.

— Com miał, tem panu służyć — rzekł mól skromnie — kwerenda taka kosztuje.

I skromnie ją wylikwidował Górnicki zapłacił nadąsany.

— No, dobre i to — rzekł — że już ja o wiem, iż szlachty więcej nie ma nad tego jednego.

— Za to mogę ręczyć

Koniec końców nie wielka to była pociecha. Górnicki kwaśny wyszedł z kancelaryi.

Dalej nie wiedział dobrze już czego szukać. był jak na rozstajach — tylko trafił jakiś, szczęśliwy mógł mu chyba być pomocnym, a złym ludziom niekiedy jakaś fatalność na przekorę pocziwych dopomaga...

Z bratankiem swoim ułanem chodzili i spędzali wieczory wesołe... ale to do niczego nie wiodło. Górnicki kłął.

— Wracaj bo do domu — mówił mu ułan — co ty możesz zrobić; nie mając się za co zaczepić? Rzecz daremna! Prędeż w miejscu się coś dośledzi...

*) Historyczne.

— Zakląłem się, nie wrócę, póki czegoś nie wygrzebie, odpowiadał Górnicki — żebym tu miał rok siedzieć!

Towarzystwa trafiały się różne... Pan Symforyan i grać lubił. więc gdzie pokątny faraonik się zebrał. albo w sztosika się zabawiono, chętnie tam spędzał wieczory. Gier publicznych już naówczas w Warszawie nie było, ale w różnych domach kawalerskich zbierali się cicho amatorowie. — Jednym z tych był właśnie na podwalu niejakiego Drobisza, który gdzieś, kiedyś służył pono wojskowo. a teraz nie wiadomo co robił we dnie, wieczorami zaś i nocami przyjmował dobrych przyjaciół i ciągnął im sztosika. Jakkolwiek rzadko kto wyszedł cały z rąk owego Drobisza, gra ma taką ponętę szatańską. dla tych co jej raz skosztowali — iż ludzie nałogowi szukają jej choćby nie bardzo byli pewni, jak ona jest prowadzoną. — Rzadko się tu kto zgrał skandalicznie, lecz pan kapitan Drobisz nigdy też przegranym nie był.

Jednego wieczora zasiadając do poniterowania z nudów pan Górnicki, obok siebie znalazł z czarnemi tajemnymi oczkami figurkę ruchawą, która z wielką grała zapalczywością. Gracze choć nieznajomi, wzajem dla siebie byli grzeczni i przy zielonym stoliku związała się znajomość. Jakoś tego wieczora niezmiernie się gospodarzowi poszczęściło, wygrał kilka set dukatów i chciał osłodzić poniterom tę stratę. Posłał więc po wieczerzę i szampana.

W przerwie towarzystwo, które gwałtownie pragnęło się odegrać — zasiadło do stołu. a że pan Drobisz był gościnnym nad miarę, wszyscy niemal podchmielili sobie.

Górnicki znalazł się znów obok owego sąsiada, z którym razem nieszczęśliwie poniterowali. Musieli się sobie zaprezentować i Symforyan dowiedział się, że czarniawy jegomość był—kolewski registrator Platon Małejko. W ciągu wieczery, gdy wino zaczęło nieco oddziaływać na głowy, dobadał się także, iż był urzęduikiem i że powodem przybycia jego do Warszawy, była pewna sprawa kryminalna, około której dalszego śledzenia potajemnie chodził.

Małejko gdy się napił i trochę go rozebrało. był niezmordowanie gadatliwy.

— Co to za sprawa! począł się spowiadać sąsiadowi... Inni na niej zęby połamali... to brylantowa sprawa żeby pokazać. jak kto ma w głowie—ja tej sprawy utopionej, zaprzepaszczonej. oddanej na wolą Bożą (styl sądowy)—zrobię coś takiego. czemu się świat dziwować będzie.

Uderzył się po głowie i rozśmiał.

— Oni mnie mają za małego człowieczka — ja im pokażę, czego człowieczek mały tu z olejem w głowie dojść może. Hej! hej! Gdybym tylko z tego Żymińskiego, który wszystko wie — dobyć mógł choć słówko... ale ja i jego pociągnę!

Na wspomnienie Żymińskiego Górnicki aż poskoczył, pochwyił za obie ręce Małejkę, oczy mu się zaśkrzyły.

— O jakim Żymińskim mowa? — zapytał — o jakim?

— O tym co ma dom przy Senatorskiej ulicy.

— O tej bestyi! ale słuchaj no — przerwał Górnicki — my się musimy rozmówić, gdyż bodaj żebyśmy sobie wzajemnie byli przydatni.

W kilku słowach Górnicki, który nie miał się co tajić ze swoją sprawą, opowiedział Małejce z wielką słuchającemu uwagą o co chodziło.

Kolegialny rejestrator głową kiwał i ustami wykręcał.

— Czekaj pan — szpenął — tu nie miejsce... jutro się nam potrzeba zejść i pogadać... zdaje mi się, że to nas tu Opatrzność posadziła przy sobie. — Zobaczymy — ale cyt! Ani pary pan nie puść!

Po wieczery zaczęli grać i zgrali się wszyscy odegrywając prócz Małejki, który miał tyle wstrzeżeń, iż po butelce nigdy wielkimi kuszami nie stawiał. Było to dlań prawidłem. Z panem Górnickim dali sobie miejsce schadzki w jego zajazdzie przy Bednarskiej ulicy.

Nazajutrz przy wódeczce i śledziu siedzieli razem dwaj nowi znajomi.

— Nie ma tu już co mydlić — mówił Małejko — ja panu muszę rozpowiedzieć jak było. a może się dwa końce zejdą... i mój i wasz.

Rzecz się miała, jak ja wykombinowałem i doszedłem — następnie...

Na Wołyniu jest wioska Orygowce. Kupił ją już lat temu dobrych kilka. przybyły z Mazowsza cioteczny brat pana Żymińskiego tego, niejaki pan Daniel Tremmer. Słuchajże no pan. Obok Orygowiec mieszka na swoim majątku pan prezes Boromiński w Murawcu. a ma jedynaczkę córkę pannę Leokadyą, bardzo śliczną i bogatą pannę. No, rzecz to prosta, ów pan Daniel podobno jeszcze pannę prezesównę zając z tego czasu, gdy była na pensyi w Warszawie.

zaczął się w niej mocno kochać, ale ten Tremmer był protestanckiego wyznania, jeden sęk — a w dodatku coś tam szlachectwo pono nie bardzo tegie. Dosyć, że choć się podobał prezesowi, który u niego bywał i w domu go często przyjmował, o córce mu ani myśleć nie dopuszczał. A to wiem, czego inni nie zwąchali, że panna i p. Daniel mimo to za pośrednictwem usługnej ciotki p. Wychlińskiej, mieli z sobą stosunki potajemne, ciągle pisywali do siebie i wzdychali najczulej. Trwało to kilka lat, ojca próbowano kilka razy — ani chciał słuchać, żeby ją dać za nietęgiego szlachcica a w dodatku protestanta.

Tu tedy sztuczka, o której żywa dusza pono prócz mnie nie wie, dodał Małejko mrużąc oczki i uśmiechając się. Słuchajno pan, dowiesz się dopiero, na jakie figle ludzie z miłości się biorą.. Ni z tego ni z owego, jednego dnia dają nam znać do urzędu, że p. Daniel Tremmer znikł. W domu nocą okno wyłamano, szafy pootwierano, mówią tedy że i dziedzica znać zabito. Zjeżdżamy na grunt. Ludzie popłoszeni, dom w istocie jakby po nocnej napaści, chustka zakrwawiona znaleziona na ścieżce. Ciało gdzieś zbójcy czy utopili czy zagrzebali.

Siedzi śledztwo dzień, dwa, trzy na gruncie.. nic dojść nie podobna. Ktoś w nocy bryczką podjeżdżał pod dwór... innego śladu nie ma... Wszyscy przekonani, że p. Daniela zabito...

Jeszcze do dziś dnia i sąd i asesor i prezes i sąsiedzi najpewniejsi, że tam popełniono kryminal...

— A cóż się stało? zapytał zdziwiony Górnicki.

— Że nie było żadnego kryminału i zabójstwa to ja ręczę, dodał w piersi się bijąc Małejko. Milczałem,

milczę, ale powoli nazbierałem dowodów i tego pewny jestem, że p. Danielowi potrzeba było ze świata zniknąć i tak niezgrabnie sobie to ułożył... Oszukał wszystkich — tylko mnie nie. Uważaj pan tylko. Po jakimś czasie panna Leokadya... niby się zanudziła za ciotką panią Pstrokońską w Sandomierskiem, że się do niej wybrała...

— He! porwał się Górnicki z krzykiem, a Żymiński cioteczny brat tego nieboszczyka Daniela — he? tak? I Żymiński śmieje się i łże... a toć go masz tego twego zabitego — to jawna rzecz, to mój szelma Żymiński, który sobie od brata nazwiska pożyczył, i w takich łaskach jest u pani Pstrokońskiej... a do panny Leokadyi znać dojeżdża...

Z kolei Małejko się pochwycił z siedzenia. — Cyt! na miłość Boga! cyt! cicho... jak wygląda?

Górnicki szybko począł opisywać swego nieprzyjaciela... Małejki twarz promieniała, klaskał w ręce, — To go mamy!

— A więc oszust. samozwaniec... wtorował Górnicki... Słuchaj waćpan, ani chwili nie traćmy. to nie ulega najmniejszej wątpliwości... siadaj waćpan ze mną jutro czy dziś na bryczkę i jedźmy wprost. . Złapiesz go waćpan i będziesz miał. a mnie zemstę zgotujesz słodką. Ani chybi, że on ztąd myślał pannę wykraść... niech że się łajdakowi nie uda.

Ale pomotana sprawa!

Małejko przenikliwością swoją tryumfujący chodził po izbie rzucając się i rozmyślając...

— Ani chybi, tak jest!

— A mnie to Opatrzność waćpana zesłała — krzy-

czał Górnicki. — W kajdany tego jegomości — boć to przecie kryminał — oszustwo, nieczysta sprawa...

Oba spiskowcy uściskawszy się jeszcze razy kilka i zapiwszy sprawę wódką, na dzień następujący wyjazd naznaczyli.

Jakkolwiek się to dziwnem wydawać może, tłumaczenie wypadku przez pana Platona Małejkę, przyznać należy — było trafne. Nieszczęśliwa miłość naprowadziła na nieszczęśliwą ową myśl udanego mordu, któryby czujność pana prezesa mógł uspić. Pan Daniel z ciocią Wychlińską obrachowali, że pod opieką pani Pstrokońskiej jakoś się małżeństwo w ten, lub inny sposób skojarzy, a prezes później spełniony fakt przebaczy i da błogosławieństwo.

Nie dosyć jednak jeszcze, starając się aby Indzie dworscy posądzonymi być nie mogli — dobrze wykonał swój plan pan Daniel. Oko biegłego ajenta, jakim był niezaprzeczenie Małejko, pochwytało rozpierzchłe rysy fałszywe, dobażało się pod całą tą tragi-komedią niezręcznie splecionej sztuki. Małejce nie szło o wyrządzenie przykrości Danielowi, do którego osobistej niechęci nie miał, nie szło o żaden zysk i korzyść, chodziło mu o pokazanie własnego sprytu i biegłości. — Im bardziej asesor i Zdenowicz wysmiewał jego „świdrowania“, tem Małejko zaczynał się mocniej, żeby dowieść, iż bystrzej a dalej i głębiej widzi, niż ci co z niego szydzili. Roznamiętnił się w końcu do tej sprawy i postanowił prawdy dosłedzić, choćby z największą czasu ofiarą. Do Warszawy sprowadziła go ta okoliczność, iż w czasie pobytu na wsi pana Żymińskiego, pochwytał słówka jego, śmiechy i w sposobie postępowania podejrzone, a nie logiczne różne

rysy — dowodzące, iż cioteczny brat — był wtajemniczony we wszystko i po troszę nawet pomagał panu Danielowi...

Spotkanie i rozmowa z Górnickim, rzuciły tak niespodziane światło na domysły jego, iż teraz prawdy swej był pewnym.

Groziło więc niebezpieczeństwo panu Danielowi, nkrytemu pod nazwiskiem ciotecznego brata, co najmniej mogące wszystkie jego zniszczyć plany — i wykryć podstęp, na którym przyszłe szczęście budował. — Niebezpieczeństwo to tem było większe, iż najmniej mógł się spodziewać, aby go tu kto odkrył. Ciocia Wychlińska, należąca do spisku, odprawiła nawet wszystkich ludzi z Murawca wziętych, aby go nie poznano; on nie wziął z sobą nikogo, nawet wiernego Franciszka, który mu w Orygowieckiej komedyi dopomagał, lękał się jakiego wygadania, lub przypadkowego poszlakowania.

Nie wchodziła w rachubę bystrość pana Małejki, śledztwo bowiem starał się Żymiński wszelkiemi sposoby przerwać i zakończyć — a tak nieszczęśliwego trafu, jak spotkanie Górnickiego z przybyłym Bógwie z kąd panem rejestratorem, niepodobna było przewidzieć...

Tym czasem gdy p. Daniel najspokojniej w świecie dojeżdża coraz częściej do Borków, a pani Pstrokońska już osnuwa na tem przyszłe szczęście Leokadyi, lepiej poznając codzien Tremmera i widocznie go popierając — groźna burza zbiera się nad głowami dwojga nieszczęśliwych, nic nie przeczuwających istot. — Niebezpieczeństwo nie tylko szło z jednej strony od Górnickiego, który duiem i nocą wiozł z sobą

rejestratora Małejkę, ale z drugiej straszniejsze może jeszcze zbliżało się co chwila...

Pani Pstrokońska odprawiając do Murawca ludzi i konie, dała im do dozoru kapitana Złomskiego, który, jakeśmy mówili, miał polecenie pozostania przy prezesie dla jego rozrywki, jeśliby się to okazało potrzebnem.

Przybywszy na miejsce, gościnnie bardzo przyjęty, razem z ojcem Serafinem i kilku sąsiadami, w istocie starał się jak mógł, bawić starego, który po córce niezmiernie tęsknił.

Niemal codzień prawie — narzekał, że go na tak długo opuściła. Nie mogła to. mówił. Benigna tu do mnie przyjechać z całym dworem, bodajby... Cóż to? czy mi już by strawy dla ludzi, owsa dla koni i pomieszczenia dla gości zabrakło? Łatwiej jej się wałęsać, bo zdrowa i młodsza, a mnie z mojami nogami? I zostawili mnie tak na całuteńką zimę z Bernardynem na rekolekcyach.

Narzekańia te powtarzały się niemal codzień, a choć sąsiedzi przyjeżdżali, choć kapitan go nie odstępował, choć na towarzystwie nigdy nie zbywało, prezes był chmurny i kwaśny...

— Nic jedyne go dziecka nie zastąpi — mówił księdzin i kapitanowi, grając z niemi w maryasza do puli — pustki w domu — na łzy mi się zbiera... Ale to z temi babami...

Tknięty ciągłemi temi skargami kapitan Złomski, jednego dnia żartem — odezwał się...

— Żebyś pan prezes miał trochę determinacyi, to byśmy tym paniom doskonałego figla mogli wypłatać!

— A to jakiego? spytał prezes.

— Hm! rzekł Złomski, zaprzęglibyśmy do landary tęgich sześć koni, siedli i pojechali. Toby dopiero była siupryza i szczęście w Borkach...

— A tak! w późną jesień z mojami nogami, w taką drogę, co sobie kapitanie myślisz!

Na tem się skończyło pierwszego dnia, ale na drugi prezes, przenocowawszy z tą myślą, sam zaczął kapitana.

— Kto wie, możeby ten figiel dał się wykonać — tylko że ja taki się zrobiłem do jazdy ciężki! A te noclegi! te popasy! a groble — a mosty...

— Ale jabym jako kwatermistrz jechał przodem, podchwycił kapitan, a ojca Serafina dla skrócenia drogi z talią kart wsadzilibyśmy do landary. i tak byś pan prezes ani się spostrzegł, jak byśmy w Borkach stanęli...

— Dobrze to gadać. panie kapitanie, rozśmiał się prezes — stary wojskowy, człowiek krzepki i zdrowy, a mnie te reumatyzmy męczą.

— Na nie nie ma lepszego lekarstwa, jak dobrze się w drodze przetrząść — dodał kapitan.

— Końskie to lekarstwo — szepnął prezes... Aż znowu w dni parę stary Boromiński wrócił do tego figla, obmyślonego przez kapitana. Ten widząc, że tu tylko może brak trochę energiczniejszego podbudzenia, a czując, że p. Pstrokońskiej robi tem wielką przyjemność — wziął się po wojskowemu.

— Ja pana prezesa biorę na moją odpowiedzialność, zawołał, powozy opatrzę, konie dobiore. przodem pojedę i — jedziemy! Nie ma co się namyslać — di-

ctum, factum, proszę mi tylko dać pełnomocnictwo, powtarzam, że wszystko na moją biórę odpowiedzialność.

— A no — to dziejże się wola Boża! krzyknął prezes rzucając karty. — Wołać tu ekonoma... Ale mój dobrodzieju, obrócił się do kapitana, żebyście mi koni nie pozarzynali, to wszystko młodzieź!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.





Biblioteka Raczyńskich

JK 614



JK0614